

BARBARA SADURSKA

NATURALNIE



W dniu jej siódmych urodzin wyszły z domu tuż przed wschodem słońca, szły jak zwykle piaszczystym gościńcem, potem skręciły w wiadomym miejscu pod górę w stronę lasu, po kamieniach przeszły na drugą stronę Przydoniczanki, która tutaj była dość płytka. Następnie przedarły się przez gęste zarośla, ominęły wysokie pokrzywy i w momencie, kiedy słońce wyjrzało zza Działu, stanęły na polanie. Złote światło rozlało się po pachnącej łące i opromieniło jasną postać dziewczynki, a jej owinięte wokół głowy warkocze lśniły niczym korona z najszerszego złota. Wtedy babcia zdjęła z głowy chustkę haftowaną w lilie i zarzuciła ją na ramiona Jadzi.

– Dla ciebie, na urodziny – powiedziała.

Wnuczka nawet nie śmiała marzyć o takim prezencie. Kobiety we wsi nosiły inne chusty, haftowane w róże, przetykane złotą nitką, z frędzlami. Ale takiej czerwonej w lilie nie miał nikt. I teraz Jadzia dostała ją na urodziny.

– Pilnuj tej polanki i poziomek, i wszystkiego, co na niej rośnie, jak oka w głowie, bo to święte miejsce – dodała babcia Regina, a kiedy w południe zmęczone wracały do domu, opowiedziały wnuczce historię tak starą jak sama Przydonica albo i starszą.

Fragment książki

BARBARA SADURSKA
NATURALNIE

Wydawca:

Małopolski Instytut Kultury w Krakowie

30-233 Kraków, ul. 28 Lipca 1943 17C

tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl

Dyrektorka: Joanna Orlik

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:

Joanna Nowostawska-Gyalókey

Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk

Korekta: Martyna Tondera-Łepkowska, Ewa Ślusarczyk

Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska

Projekt graficzny, skład i łamanie, przygotowanie zdjęć do druku:

Maciej Grochot

Współpraca: Joanna Warchoł

Na okładce: Las Wolski w Krakowie, międzywojnie.

MuFo, domena publiczna

Na s. 4 okładki: Barbara Sadurska, fot. J. Nowostawska-Gyalókey,

2022. MIK

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca również do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

ISBN 978-83-61406-14-3

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2022

Publikacja powstała w ramach XXIV Małopolskich Dni
Dziedzictwa Kulturowego.

www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 3000 egz.

Druk: Drukarnia Skleniarz

BARBARA SADURSKA
NATURALNIE

SPIS TREŚCI

O WODZIE I CHLEBIE	
Osada młyńska w Roztoce-Brzezinach	10
O CZASIE I NALEWCE	
Kościół i klasztor Reformatów w Kętach	36
O PRZEZNACZENIU I KACZCE	
Muzeum Historyczno-Etnograficzne w Andrychowie	64
O POZIOMKACH I MIŁOŚCI	
Kościół pw. Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy	90
O TULIPANOWCU I MUZYCE	
Las Wolski w Krakowie	116
Podziękowania	150
Bibliografia	153

Szanowni Państwo!

Organizatorzy Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego już po raz dwudziesty czwarty otwierają przed zwiedzającymi drzwi na co dzień niedostępnych obiektów, odkrywają na turystycznej mapie Małopolski nowe miejsca i zachęcają do wspólnego poznawania skarbów przeszłości.

Podczas tej edycji będziemy przypominać, że dzieła naszych przodków powstały w przestrzeni i kontekście wszechpotężnej natury i do dziś są z nią nierozzerwalnie związane. Stąd też hasło przewodnie Dni Dziedzictwa – „Naturalnie” – które jednocześnie doskonale wpisuje się w tegoroczne działania informacyjne samorządu województwa małopolskiego skupiające się na upowszechnianiu turystyki w regionie.

Zapraszam zatem do miejsc, w których kultura w sposób wyjątkowy przenika się z naturą. Będziemy mogli nie tylko poznać wytwory ludzkiej kreatywności, ale też podziwiać z bliska potęgę i majestat przyrody. Zachwyćmy się życiodajną mocą wody w osadzie młyńskiej w Roztoce-Brzezinach, trwałością i urokiem przedmiotów codziennego użytku z Muzeum Historyczno-Etnograficznego w Andrychowie, inspirującym pięknem w kościele w Przydonicy i klasztorze w Kętach czy spacerem po Lesie Wolskim.

Droży Państwo, z dziedzictwa przeszłości budujemy lepsze jutro. Pamiętajmy o tym i dbajmy, by kolejne pokolenia również mogły cieszyć się pięknem i potęgą natury i kultury.



Witold Kozłowski
Marszałek Województwa Małopolskiego

Czy natura przychodzi nam do głowy jako pierwsze skojarzenie, kiedy myślimy o dziedzictwie? Raczej nie. A przecież, gdyby się zastanowić, to związków między kulturą a naturą jest mnóstwo. Ukształtowanie terenu, które wpływało na podejmowanie decyzji o lokalizacji osad ludzkich, naturalne materiały, z których tworzone były budynki, motywy dekoracyjne zaczerpnięte z otaczającej nas przyrody, wreszcie przenoszone na płótno krajobrazy.

Natura jest obecna w naszych miastach, miasteczkach i wsiach, wchodzi do naszych mieszkań. Wygląda jednak na to, że nie zawsze łatwo nam to sobie uświadomić. Ludzie przez wieki żyli w rytmie natury, w zgodzie z nią, czujnie ją obserwując i próbując odczytać znaki, które nam daje. Przewidzieć zagrożenia, uniknąć katastrof. Co się takiego wydarzyło i kiedy, że utraciliśmy to poczucie związku i zależności? Czy wystarczyło, by woda popłynęła prosto z kranu i nie trzeba jej było przynosić ze studni? A może potrzebowaliśmy powszechnego doświadczenia mleka z kartonu i kukurydzy z puszki? Czy jednak to wielkie inwestycje cywilizacyjne: zapory, mosty nad przepaściami, osuszanie bagien i regulacja rzek sprawiły, że poczuliśmy się silniejsi niż przyroda. Mocniejsi, bardziej sprawczy, niezależni?

Dziś, w obliczu katastrofy klimatycznej, stawiam te pytania z niepokojem. Chcemy czy nie, widzimy czy też nie widzimy, jesteśmy na końcu tego łańcucha. To, co uczynimy dziś lub czego dziś nie uczynimy, wpłynie bezpośrednio na nas i naszą przyszłość. Przekazując Państwu do rąk publikację towarzyszącą tegorocznej edycji Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, dokładamy naszą cegiełkę do obrazu człowieka w systemie przyrodniczych zależności.



Joanna Orlik

Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie

Widok z góry na osadę młyńską w Roztoce-Brzezinach, lata 50. XXX w. Ze zbiorów rodziny Winiarskich





O WODZIE I CHLEBIE

Osada młyńska
w Roztoce-Brzezinach

Na początku była woda. Zanim wypiętrzyły się góry, a Dunajec wyźłobił swe koryto między pienińskimi szczytami, zanim pojawiło się tu życie – wyrosły pierwsze rośliny, potem chwasty i drzewa tak wielkie, że zaczęły rzucać cień, zanim roztoka stała się Róztoką i pojawili się tu pierwsi ludzie. Na początku była woda, wielka, wszechogarniająca woda, która знаła całą przeszłość i całą przyszłość Róztoki, bo była tu od zawsze i dopóki tu będzie, wszystko potoczy się tak, jak powinno, zgodnie z jej naturą i nurtem czasu. Tak będzie.

Potok Kąty spokojnie, jak zwykle jesienią, opływał podupadłą osadę. To był pochmurny dzień, niebo straszło deszczem. I właśnie wtedy przyjechał Michał. Szedł wzdłuż strumienia, woda szumiała głośno, schodziła z góry błotnista i mętna. Szedł wzdłuż potoku, wiadomo, za drogą, przekroczył chylący się płot, stanął koło studni i ponurym wzrokiem spojrzał na dom dziadka, na zapadnięty z jednej strony dach, na schodki obrosłe mchem, na stodołę, pożal się Boże, na młyn i tartak. Patrzył i słuchał. Huczała woda, ale on w tym huku słyszał ciszę. Straszliwa jest cisza po ludziach, którzy byli, a których już nie ma. Głucha cisza tam, gdzie skrzypiał i trzeszczał pracujący młyn.



W takiej ciszy ogłuszający ryk fal rozbijających się o kamienie jest jak szept przeszłości. Słuchał wody, która była tu od początku.

Potok płynął niestrudzenie. Najpierw nie miał nazwy, potem ludzie zaczęli go nazywać Kątami. Dziś na mapach i wyrysach figuruje nazwa Roztoczanka, ale mieszkańcy wsi wiedzą, gdzie są Kąty i że z Kątów brał młynarz wodę na młyn, że to dzięki temu potokowi była mąka na chleb. Są tacy, którzy pamiętają jeszcze tamten czas, czas wróżb i przepowiedni, że po latach chudych nadejdą tłuste.

Michał stał i słuchał. Zdało mu się, że słyszy dalekie echo melodii gwizdanej przez dziadka za każdym razem, kiedy uruchamiał młyn. A woda płynęła dalej, bo przecież wszystko się dobrze ułoży, skoro wrócił wnuk młynarza. Tak Józkowi sto lat temu przepowiedziała stara Pajorka i tak się miało stać.

Michał przyjechał ze świata, po podróżach i studiach w wielkim mieście. Inny to był już świat i inny człowiek niż wtedy, gdy przyjeżdżał do babci i dziadka na kilka dni, kiedy miał wolne od szkoły. Życie w młynie znał ledwo co. Urodził się w Krakowie i w Roztoce-Brzezinach bywał tylko latem, popatrzeć na żniwa, pobrodzić w strumieniu. Zresztą za jego czasów młyn chodził już na prąd. Prawdziwej mocy tej wody, która spadała na koło i wprawiała w ruch całą maszynę, nie znał i znać nie mógł, bo go jeszcze na świecie nie było, kiedy potok, który płynął tuż za płotem, zaprzęgnięty przez młynarza do roboty potrafił ruszyć każdy ciężar. Gdyby było trzeba, to potok i przez sto lat mógłby tak pracować. Woda nigdy się nie męczy i niczego nie zapomina.

Michał brodził w potoku jako młody chłopak z włosami rozświetlonymi słońcem, z piegami na twarzy. Boso, portki tylko podwijał nad kolana, żeby nie zmoczyć nogawek. Przyjeżdżał do Roztoki z rodzicami, ojcem Julianem i mamą Ewą. Pomagał dziadkowi Józefowi przy wialni albo w polu, a potem biegł do wody, żeby się ochłodzić. A teraz wysoki mężczyzna, podobny do swego dziadka, stał tu i patrzył, jak młyn i dom, i tartak, i stodoła, jak to wszystko chyli się ku upadkowi. Po drugiej stronie lasu już lunął deszcz i dużo wody zebrało się w górze z całej Roztoki. Ciężkim strumieniem płynęła teraz, rozbijając się na kamieniach.



Woda była tu od początku.

Mijała osadę młyńską dzień w dzień, noc w noc i widziała młynarza Józefa, jak o każdej porze nosił worki z ziarnem, czy to w blasku słońca, czy w świetle księżyca. Jego żona Katarzyna siedziała w jasno oświetlonym oknie i szyła na amerykańskiej maszynie Original białe sukienki. Albo piekła chleb, najlepszy chleb w okolicy. Żeby zrobić taki dobry chleb, Kaśka Winiarska najpierw brała mąkę pyłkową, mieszała ciasto, formowała bochny i kazała im rosnąć. Potem długo rozpalala w piecu chlebowym i po nocy wsadzała sześć wyrośniętych bochenków do rozgrzanego wnętrza.

Stara Pajorka jej przepowiedziała, że będzie miała sześcioro dzieci. I jeszcze, że jej dzieci uratuje ten chleb, który robiła i którym się dzieliła z mieszkańcami Roztoki, bo w tych okolicach przecież nigdy nikomu się nie przelewało i ludzie częściej byli głodni niż syci, więc żona młynarza Winiarskiego po prostu dzieliła się chlebem. I starej Pajorce też dała parę razy na przednówku. To było zaraz na początku, kiedy Józek dopiero co zbudował młyn i o wojnie jeszcze nikt tutaj nie gadał. A Pajorka wtedy wzięła ten chleb i powiedziała, że on kiedyś Kaśce uratuje dzieci. „Ludzie im umrzeć nie dadzą przez pamięć chleba, który od ciebie zjedzą”. Kaśka się tylko uśmiechnęła, grzecznie podziękowała i życzyła smacznego. Co miała innego powiedzieć?

Wiele lat później przypomniła sobie te słowa. Właśnie umyła ręce z ciasta i siadała do maszyny, kiedy ją tknęło, że pewnie jest w ciąży, z szóstym dzieckiem. W tym czasie wieś musiała być

↑ Winiarscy przed domem: u góry Józef, poniżej Katarzyna z Marysią na kolanach, obok matka Józefa, Anna, dalej najstarsza córka Bogumiła, u dołu synowie Winiarskich Tadek i Julek, lata 40. XX w. Ze zbiorów rodziny Winiarskich



już zelektryfikowana, bo młyn chodził na prąd, a i w każdym pokoju w domu była żarówka. Przy świetle elektrycznym Katarzyna szyła suknie, a robiła to tak, że słynęła z tego w całej dolinie Roztoki, a nawet i dalej! Janinka i Bogusia były już duże, Tadzik i Julek marzyli o mieście, po wojnie urodziła się Marysia. Kaśka zagniotła ciasto na chleby i usiadła do maszyny, ale nagle wszystko zaczęło jej zawadzać. Ciasto wydawało się jej nie takie, materiał się marszczył, nitka rwała, w głowie jej się kręciło i przypomniła sobie ten pierwszy rok, dawno temu, kiedy rozmawiała ze starą Pajorką. „Niech Bóg ci w dzieciach wynagrodzi, po jednym za każdy bochenek, który wyjmiesz z pieca” – powiedziała wtedy.

Potok płynął swoim korytem i niczemu się nie dziwił, bo co ma być, to będzie. Ludzie wszystkiego wiedzieć nie muszą. Nawet lepiej, żeby wszystkiego od razu nie wiedzieli.

Przed wojną żona młynarza szyła suknie ślubne przy karbidówce. Wtedy były jeszcze te dwa stawy nad młynem, do których Józef Winiarski doprowadził wodę własnoręcznie wykopaną młynówką. Konia wziął od sąsiada i w ciężkiej, gliniastej ziemi przekopał nowe koryto, postawił służę i puścił tamtędy wodę. Woda wpadała do górnego stawu, stamtąd do dolnego, a dalej drewnianym korytem na koło do młyna. Gdy wody było dość, zamykał służę i woda płynęła spokojnie swoim nurtem. Zasykali te stawy dopiero po wojnie, kiedy już zelektryfikowano i młyn, i wieś, a woda szła już nie na młyn, ale starym korytem obok.

Zanim to jednak nastąpiło, Józef Winiarski uruchamiał młyn w czasie wojny, mimo niemieckiego zakazu. Odgwizdywał swoją melodię i puszczał wodę na koło. Miał pszenicę, robił kaszę z prosa, otręby i miękiny starannie zaś zbierał do worka, bo w czasie wojny ludzie nawet i to gotowali i jedli, żeby oszukać głód. Józef z żoną nikogo nie odprawili bez jedzenia. Choćby sami mieli mało. Choćby ryzykowali życiem.

Zbierali się wtedy u niego partyzanci i żona młynarza szła im furażerki, latała mundury, prała bieliznę. Może dlatego niektórzy nazywali ją Ciotką, choć oficjalnie w partyzantce miała pseudonim Brzezina.

Józef Winiarski był radiotelegrafistą i wieczorami jego syn, który siedział pod oknem, słyszał ciche „ti ti ta ta ta” dobiegające z pokoju. Chodził potem i podśpiewywał to sobie. A przecież ta piosenka: „ti ti ta ta ta”, była śmiertelnie groźna, tak mu później powiedzieli dorośli. Gdyby go usłyszeli Niemcy! Julek wiedział, że to, co robią rodzice, jest niebezpieczne. Widywał u ojca i broń, i ludzi, których szukali Niemcy. A potem, jakoś pod koniec wojny, Niemcy musieli dostać cynk, że młynarz ma kontakty z partyzantami, przyjechali, przeszukali młyn i dom, znaleźli radiostację i partyzanckie opaski z wyszytymi literami WP. Na oczach dzieci zabrali młynarza do samochodu i pojechali z nim do Rożnowa. I było wiadomo, że wzięli go na śmierć. Cała rodzina musiała uciekać z domu. Dziećmi: Janiną, Tadeuszem, Julianem i Bogusią, zajęli się dobrzy ludzie, którym Winiarscy wcześniej pomagali w czasie głodu; Kasia ukrywała się u krewnych i przyjaciół. Obejścia pilnowała babka, mając baczenie na wszystko, co się wokół młyna działo. Czasem zajrzał ktoś z sąsiadów, sprawdzić, czy nic nie zginęło.

Czworo dzieci uratowali dobrzy ludzie, tak jak przepowiedziała Pajorka. A młynarz z raną postrzałową uciekł Niemcom, kiedy wzięli go do Sącza na rozstrzelanie. Taką wiadomość przyniósł Kaśce jeden partyzant, ten, który ich ostrzegł zaraz na początku wojny, że Niemcy przyjdą skontrolować młyn, bo doszły ich słuchy, że Winiarski robi mąkę.

I rzeczywiście, na początku wojny do młyna przyszedł Czech w niemieckim mundurze i zapytał: „Wy se melete?”, a Józef Winiarski odpowiedział: „Nie, przecież młyn stoi pusty”.



I pokazał wewnątrz Czechowi. A on sam chyba był młynarzem, bo umiał docenić dobrą konstrukcję koła i kamienie młyńskie z pięknego piaskowca. Więc chodził za Józefem i wszystkim się zachwycał, a potem założył ołowiane piony na kamienie, machnął ręką i powiedział, że nie wolno mleć zboża. I poszedł.

A woda płynęła i młynarz puszczał ją nocą na koło, brał zboże od ludzi, mielił, dawał im mąkę, a potem czyścił młyn, sprzątał, zakładał piony, otrząpywał ręce i kładł się spać. A jego żona z resztek robiła chleby. I dzieliła się nimi z tymi, którzy byli głodni.

Woda była zawsze blisko wszystkiego, co działo się w młynie.

Przed wojną u młynarza była najlepsza zabawa. Dzieci bawiły się w kole młyńskim w chowanym. Albo chodziły w górę potoku Kąty łowić ryby i raki. Starsze dziewczyny, Janina z koleżankami, zapuszczały się aż na górę Majdan, głęboko w las, młodszy chłopcy mieli zakaz chodzenia tak daleko. Co dzieci sobie robiły z zakazów dorosłych? Zimą na przykład przecież jasno było powiedziane, że nie wolno im wchodzić na lód na stawach. A one zapinały łyżwy na buty, mimo że płozy z tyłu miały ząbki i niszczyły obcas, i ślizgały się na środku górnego stawu, chociaż tam było naprawdę głęboko.

Sześcioro dzieci urodziła młynarzowa. Sześcioro w domu nad potokiem. Czwooro przed wojną, a Marysię i Włodka już po. Wszystkie dzieci znały potok i potok znał ich wszystkich i potem znał ich dzieci. Więc kiedy Michał wrócił ze świata do Rostoki, to było dokładnie tak, jak miało być.

↑ Rodzinne muzykowanie (I Komunia Święta Julka i Tadka), 1943. Ze zbiorów rodziny Winiarskich



Stara Pajorka przecież powiedziała wyraźnie, jeszcze jak Józek był mały, że on będzie młynarzem, ale jego syn i wnuk będą prawdziwymi strażnikami młyna. Kto by tam rozumiał gadanie Pajorki! Ona już wtedy była tak stara, że starszy był chyba tylko potok w Roztoce.

A ona to przepowiedziała jeszcze zanim Józef Winiarski wymienił się ze Staszkiem, swoim przyrodnim bratem, na ten skrawek łąki w zakolu potoku, zanim dokupił hektar ziemi leżącej powyżej od kowala, Franciszka Grzyba, żeby tam wykopać stawy młyńskie i uruchomić młyn. Wcześniej, kiedy Józef był chłopcem i biegał drogą koło dworu, często patrzył na młyn dworski, przyglądał się urządzeniom i potem w nocy myślał, jak to też wszystko tak sprawnie pracuje, zda się, że bez wysiłku, a przecież parobek raz kazał mu podnieść kamień i Józek nie dał rady, choć z całej siły próbował. A w młynie ciężkie kamienie chodziły leciutko, jakby je kto ledwie palcem tknął. Piękna to była praca i Józek potrafił docenić siłę wody i zamach koła, i wytrzymałość śrub. W nocy małemu Józkowi śnił się młyn i koło wodne. I korzec ziarna.

Powiedział o tym swojej matce, a ona poszła zapytać Pajorkę, co taki sen mógł znaczyć. Wszyscy we wsi chodzili do Pajorki pytać o sny i o przyszłość. Zwłaszcza kawalerowie chętnie do niej zaglądali, bo przecież wiadomo, że w Roztoce kwiat młodziędzy i same jurne chłopaki. Niejednemu Pajorka ożenek przepowiedziała, ale było i tak, że któregoś ostrzegła przed panną z daleka.

Pajorka była obznajomiona ze znakami i snami, więc kiedy Józkowi przyśniła się woda i ziarno, to stara orzekła, że jak się komuś śni czysta, płynąca woda, to dobry znak, będzie taki człowiek szczęśliwy. A jeśli się jeszcze wyśniła do tego złota pszenica, to wróży bogactwo i poważanie. Kto wie, może Józek będzie w Boże Ciało nosił baldachim nad księdzem proboszczem albo będzie miał własną ławkę w kościele w Rożnowie? Tak powiedziała ta, która znała przyszłość i przeszłość.

Potok mijał zakole z łąką, na której rosły lipy, w ich cieniu stała studnia, pod skarpą chałupa. Podobno dawno temu mieszkała tu pewna kobieta. Kim była? Trudno powiedzieć. Stara Pajorka, kiedy zaglądała do młyna, do Kaśki, zachodziła do jej ogródka



i zrywała listki waryjota. Kto to tu zasadził? Pajorka mówiła, że to ziele czarownic, które sprowadza na człowieka prorocze sny, odejmuje ból, ale źle podane potrafi pomieszać rozum. Podobno ta, co tu wcześniej mieszkała, wiedziała, jak się z waryjotem obchodzić, ale niechętna była, żeby się tą wiedzą dzielić. Ludzi się bała, wołała sama mieszkać na uboczu. Urodziła trzy córki, które dorosły i poszły w świat. Jedna do dworu na służbę, druga za męża do Czchowa, trzecia do klasztoru do Sącza. Przyszło deszczowe lato. Tyle wody spadło z nieba, że ziemia już nie mogła przyjąć więcej, popłynęła z góry szerokim strumieniem, rozlała się w dolinie, zabrała wszystko, co stało na jej drodze. Z osady zostały lipy i studnia. Ta kobieta podobno wyniosła się do Czchowa, do córki. A woda po jakimś czasie wróciła do swego koryta. Bo potok płynął tędy, zanim jeszcze wykopano tu studnię i zasadzono ziele czarownic. Zanim ktoś tu w ogóle zamieszkał.

Ludzie zawsze garnęli się do wody i chcieli mieszkać blisko niej. Zanim ktokolwiek pomyślał o młynie, Roztoka i Brzeziny wraz z innymi osadami w okolicy trafiły w ręce sławnego rycerza Zawiszy Czarnego.

↑ Lulecznica krajinška (*Scopolia carniolica*), rys. Franz Eugen Köhler, *Köhler's Medizinal-Pflanzen*, 1897. Wikimedia Commons, domena publiczna
→ Panorama Dunajca w okolicach Rożnowa, ok. 1823, rys. E. Kronbach, *Darstellungen aus dem königreiche Galizien*. BJ, domena publiczna

Myliłby się jednak ten, kto myślałby, że nic tu wcześniej nie było. Historia tego miejsca zaczyna się, zanim powstały dwie osady – Roztoka i Brzeziny – i zanim połączyły się w jedną wieś, zanim nazwano ją Roztoką-Brzeziny, a potok – potokiem Roztoczanka.

Początek był wcześniej, znacznie wcześniej, nim ludzie się tu zaczęli osiedlać. Nim jeszcze w ogóle zamieszkali w tych lasach. Nawet zanim na zboczach gór wyrosły drzewa, wysokie i potężne. Wydawać by się mogło, że drzewa były tu od zawsze, a przecież był taki czas, kiedy nie tylko drzew, ale nawet gór tu nie było, kiedy ta ziemia wyglądała zupełnie inaczej. Była tylko woda.

Mijał czas, toczyły się wody Kątów i Dunajca, misjonarze przynieśli chrześcijaństwo na te tereny. Nad Dunajcem w warowni osiadła rodzina Rożenów. Od nich Rożnów przejął Zawisza Czarny. Zdążył jeszcze przed śmiercią, zanim zginął w tureckiej niewoli, nabyć Roztokę i Brzeziny z Kątami, górą Majdan i Szaryszem. Zmieniali się panowie na zamku w Rożnowie, wnuczka Zawiszy Czarnego wyszła za mąż za Jana Amora Tarnowskiego, ich syn rozpoczął budowę beluardu. Później Polska zniknęła z mapy Europy, nowi władcy pisali historię, ale potoki i rzeki za nic miały granice i cesarskie zakazy. Zmieniał się świat. Wybuchło powstanie listopadowe i wtedy Kazimierz, dziadek Józefa Winiarskiego, przybył z Winiar pod Wieliczką i osiedlił się niedaleko Roztoki, a że sześć razy się żenił i gospodarował sześcioma posagami, to miał co przekazać synom i każdego wyposażył w kilka hektarów ziemi, a córkom sprawił godne wiano.





Minęło kilka długich, mroźnych zim, obfitych żniw i dżdżystych jesieni. Starzy umierali, młodzi się pobierali, rodziły się dzieci. Ksiądz w kościele w Tropiu chrzczył je święconą wodą. Stara Pajorka przepowiadała im przyszłość i tłumaczyła sny, a natura hartowała ich zimną, górską wodą.

I wtedy mały Józek, syn Bartłomieja, który po Kazimierzu Winiarskim odziedziczył dobrą ziemię, biegał boso koło dworu, żeby popatrzeć sobie na dworski młyn w Roztoce. Taką miał rozrywkę. I potem, gdy już chodził do szkoły, zatrzymywał się przy młynie, żeby przyjrzeć się wielkiemu kołu, rzucić okiem na stawy i młynówkę. Interesowały go wszystkie urządzenia młyńskie. A że był chłopakiem mądrym i pojętnym i miał smykałkę do techniki, zaskarbił sobie względy dworskiego młynarza, który mu wszystko pokazywał i tłumaczył: jak woda, spadając z wysokości na łopaty koła, wprawia je w ruch, a ono napędza za pomocą dźwigni i przekładni drugie koło, wewnętrzne, i jak to się dzieje, że wielkie, ciężkie kamienie pracują tak lekko.

Tak się stało, że ten dwór należał do Marii i Jana Kwoków, którzy kupili go zaraz po ślubie. Maria, bogata panna, wniosła takie wiano, że mogli sobie na to pozwolić. Tam urodziła im się Kasia, która była małą dziewczynką, gdy Józek Winiarski biegał na bosaka popatrzeć na młyn.

Ale woda w potoku płynie swoim tempem i na wszystko przychodzi czas.



Wybuchła Wielka Wojna, która zabrała Jana Kwokę na cztery lata. Wrócił na kilka tygodni przed jej końcem, by umrzeć we dworze i zostawić w Roztoce młodą wdowę i dorastającą córkę.

Józek w tym czasie skończył sześcioklasową szkołę, poszedł do wojska, tam został radiotelegrafistą. Po powrocie bawił się z braćmi i kuzynami, razu pewnego zabłądził z Olkiem do wróża, który im przepowiedział, że jeden ożeni się z matką, a drugi z córką. Śmiali się z tego chłopaki, dopóki się nie okazało, że jeden smoli cholewki do Marii z dworu, a drugi się żeni z Kasią.

I tak się stało. Józek ożenił się z Kasią, która w posagu wniosła nie byle jaką, prawdziwą amerykańską maszynę do szycia i umiała szyć nie gorzej niż on wystukiwać informacje alfabetem Morse'a. Ona szyła suknie ślubne, on leczył gospodarskie zwierzęta, bo po wojsku zrobił kursy weterynaryjne i miał do tego serce. Ale nie opuszczało go marzenie, żeby mieć własny młyn. Zwłaszcza że w okolicy było dużo zboża, a młynów niewiele. W Bartkowej był jeden, w Tabaszowej drugi. Młyn przy dworze w Roztoce w tym czasie podupadł i przestał się liczyć w okolicy.

A potok niestrudzenie zbierał wody Roztoki i sprowadzał je w dół, do Dunajca, zakolem omijając płacheć ziemi, która jak raz nadałaby się pod młyn. Traf chciał, że ta ziemia przypadła po dziadku Winiarskim Staszкови, przyrodniemu bratu Józka. Czy można było znaleźć lepsze miejsce na młyńską osadę?

↑ Zdjęcie ślubne Katarzyny i Józefa Winiarskich, 1928. Ze zbiorów rodziny Winiarskich

No i się bracia dogadali, bo Józkowi bardzo zależało i dał za tę łąkę dwa razy więcej ziemi, ale nigdy tego nie żałował. Nigdy.

I tak obok potoku zbudował młyn i dom, i tartak, i stodołę. Od kowala, który narzekał, że dojazd ciężki, dokupił hektar powyżej młyna, przekopał młynówkę i zebrał wody w górnym i dolnym stawie, bo pamiętał, co mu mówił o sile wody stary młynarz z dworu. I dopiero z tak urządzonych stawów drewnianym korytem poprowadził wodę na wielkie koło młyńskie, które uruchamiało nie tylko młyn, ale i prądownicę, tak że w domu młynarza wieczorami żarzyła się żarówka na wiele lat przed wojną. Ludzie ściągali do młyna Józefa Winiarskiego z całej okolicy, nawet z miejscowości odległych o kilkadziesiąt kilometrów, z Rożnowa, Tropia, Witowic, Czchowa, Dzierżanin, Borowej czy Rudy Kameralnej. Bo młynarz był uczciwym człowiekiem, młyn miał dobrze i niedrogo, a przy okazji można było porozmawiać przy mocniejszym trunku, wymienić się informacjami ze świata, przecież wiadomo, że korzec pszenicy nie zmieli się w sekundę. Taki wyjazd do młyna to była prawdziwa wyprawa.

Czas mijał, młyn pracował, woda płynęła.

I tak, kiedy młynarz otwierał jaz, woda z potoku wpadała do górnego, głębszego stawu. Kiedy było jej dosyć, młynarz zamykał dopływ i oddawał wodę potokowi. Z górnego stawu stawidłem woda wlewała się do dolnego, znacznie płytszego. I dopiero stąd, po otwarciu szczelnej zapadki, drewnianym korytem spadała na koło młyńskie, a następnie wracała do potoku.

Woda pracowała i młyn pracował. Dzień i noc, dzień i noc. Od żniw do żniw.

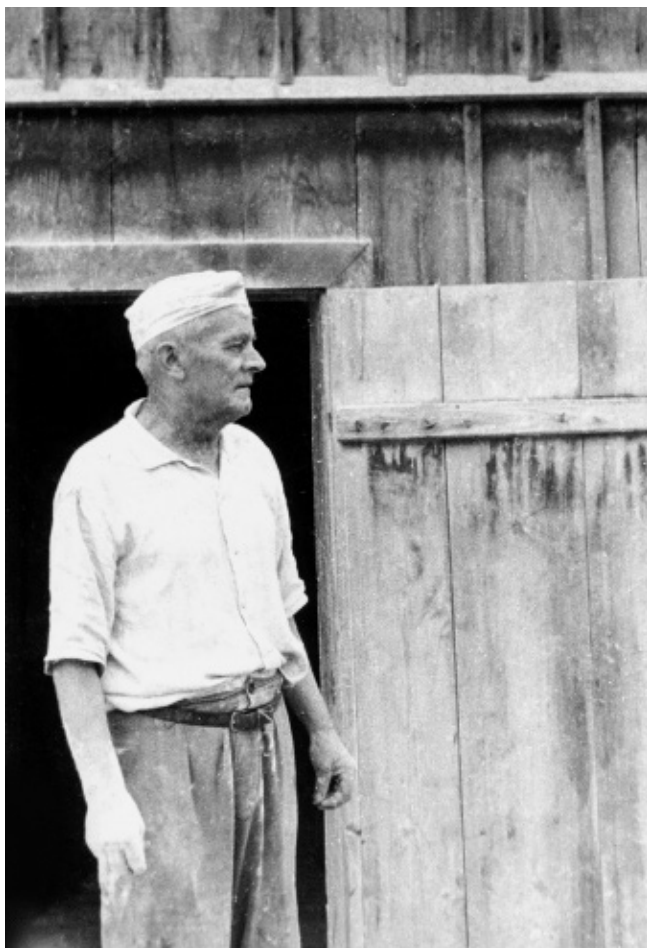
Tu urodziła się Janinka, rok później Bogusia. Dwie dziewczynki, ukochane córki tatusia. Janina miała cztery latka, Bogusia trzy, kiedy na świat przyszedł braciszek, Tadzik, a zaraz potem Julek. Czworo dzieci w obejściu, było radości co niemiara. Jeśli tylko nie musiały pomagać tacie czy mamie, zaraz biegly nad wodę. Latem dzieci budowały tamy, zimą ślizgały się na lodzie.

Aż nastąpił taki rok, że wody wystąpiły z brzegów. Dunajec zalał kilka wsi, wody potoku zniosły jaz i rozlały się po okolicy. To był bodajże pierwszy raz, kiedy młyn stanął na dłużej. Wtedy młynarz postanowił wykopać młynówkę kilkaset metrów powyżej pierwszego ujęcia wody i brać wodę z górnego zakola.

Wiedział, co robi, bo młynówka i stawy przetrwały wszelkie burze i powodzie i dopiero kiedy Józef Winiarski przerabiał młyn na elektryczny, piętnaście lat po wojnie, zasypał stawy i młynówkę łączącą je z potokiem. Do teraz został w tym miejscu wyraźny ślad. Trawa na wiosnę jest tam ciemniejsza, czasem w kwietniu zażółcą się kaczeńce. Bo ziemia, a nawet zwykłe chwasty, pamiętają wodę lepiej niż ludzie.

Tymczasem potok płynął z góry, używając hojnie swej mocy stawom i młynowi. Jeszcze nie wybuchła wojna, jeszcze Niemcy nie wydali zakazu mielenia zboża, robienia kaszy z prosa, hodowania zwierząt gospodarskich. Jeszcze prawdziwy głód nie zawitał do Roztoki. Na Wielkanoc Katarzyna robiła chałki i kołaczki, a Józef siedł obok księdza, trzymając baldachim. Cała jego rodzina kroczyła w procesji zaraz za państwem z rożnowskiego dworu. Janinka i Bogusia szły pięknie wystrojone, bo Kasia przecież zadbała, żeby córki miały odświętne sukienki. Julek dopiero uczył się chodzić, trochę niosła go mama, trochę babcia. Wszyscy w okolicy znali i poważali Winiarskich jako bogatych gospodarzy, a jeszcze bardziej za to, że to byli dobrzy ludzie, którzy nikogo nie zostawiali w potrzebie.





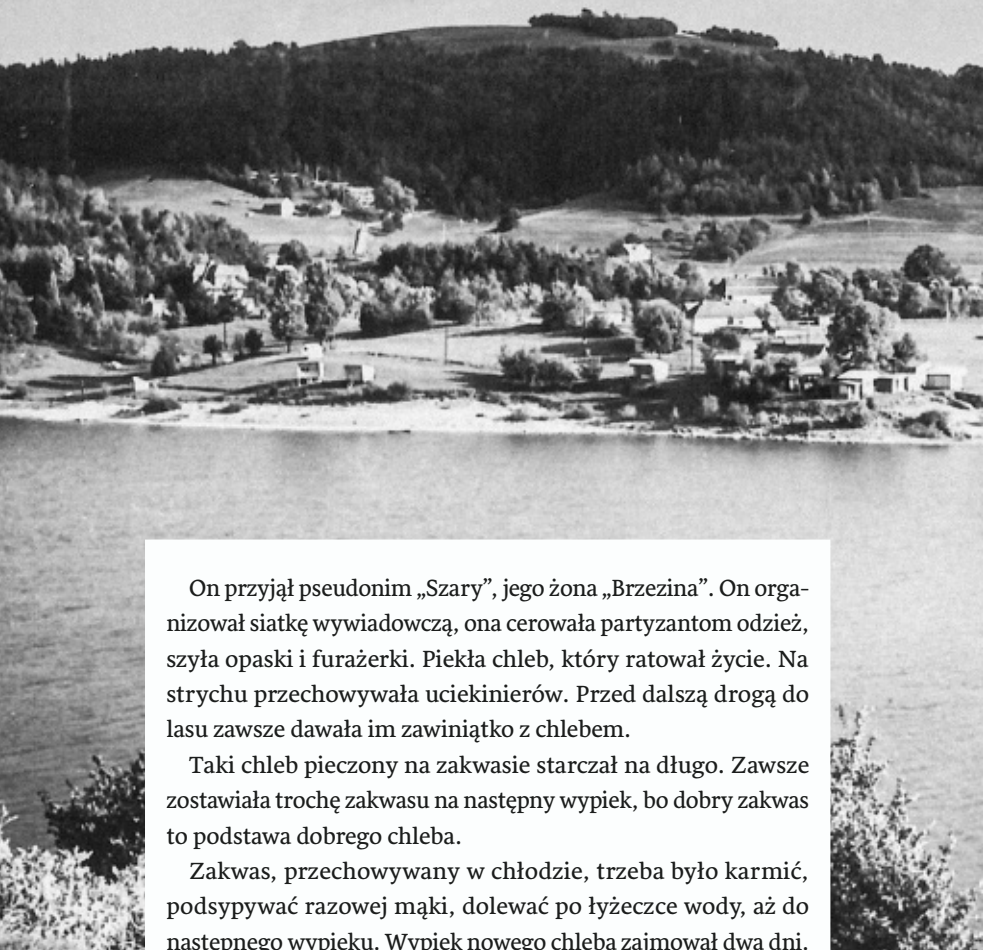
Józek Winiarski znał się na żartach i słynął z tego, że robił kawały, więc i jemu podczas wyrzędów wielkanocnych nieraz ktoś w nocy puścił wodę na koło i młyn się uruchamiał z wielkim hukiem. Zrywał się młynarz na równe nogi i po wiosennym bloku pędził co sił w górę strumienia, żeby złapać żartow-nisiów i odpłacić im pięknym za nadobne, ale szukaj wiatru w polu. Pół nocy zajmowało zatrzymanie młyna i zabezpiecze-nie wszystkiego. Następnego dnia jakby nigdy nic przychodzili koledzy zapytać, jak minęła noc. Przy mocniejszych trunkach mijał wielkanocny poniedziałek.

Tak, można powiedzieć, że Winiarski był lubiany i poważany w okolicy. Wyśnił się jego sen o złotym zbożu. Wyśniła mu szczęście czysta woda. Mało kto wiedział lepiej od młynarza, że korzec ziarna to jednak nie korzec mąki. Ile trzeba oddzielić plew od ziarna i ile otrąb z pszenicy, zanim zbierze się worek mąki czy kaszy. Ile kosztuje bycie młynarzem w dobrych czasach, ile w złych.

Wojna zastała go w stopniu plutonowego, ale zanim zdążył ruszyć na front, Niemcy zajęli Nowy Sącz i wszystko, co Józef mógł zrobić, to wstąpić do partyzantki. Młyn w Roztoce-Brzezinach stał się centralnym punktem ruchu oporu. To była naturalna kolej rzeczy. Jak Kąty zbierały podskórne wody z Roztoki i okolicy i jednym strumieniem prowadziły je do Dunajca, tak wokół Winiarskich gromadzili się partyzanci. Osada położona na końcu drogi, za potokiem, pod lasem była naturalnym miejscem kontaktowym. Józef miał wykształcenie wojskowe, był radiotelegrafistą, młodszych partyzantów uczył obchodzić się z bronią, starszym pokazywał, jak się nadaje morsem. Nawet jego najmłodszy syn nucił pod nosem „ti ti ta ta ta”. Gdyby go ktoś usłyszał! Ale słyszała go tylko woda, a ona głęboko chowała tajemnice osady młyńskiej i od niej nikt nigdy się nie dowiedział, co się u młynarza działo.



↑ Widok na osadę młyńską po przebudowie młyna na elektryczny, lata 50./60. XX w. Ze zbiorów rodziny Winiarskich

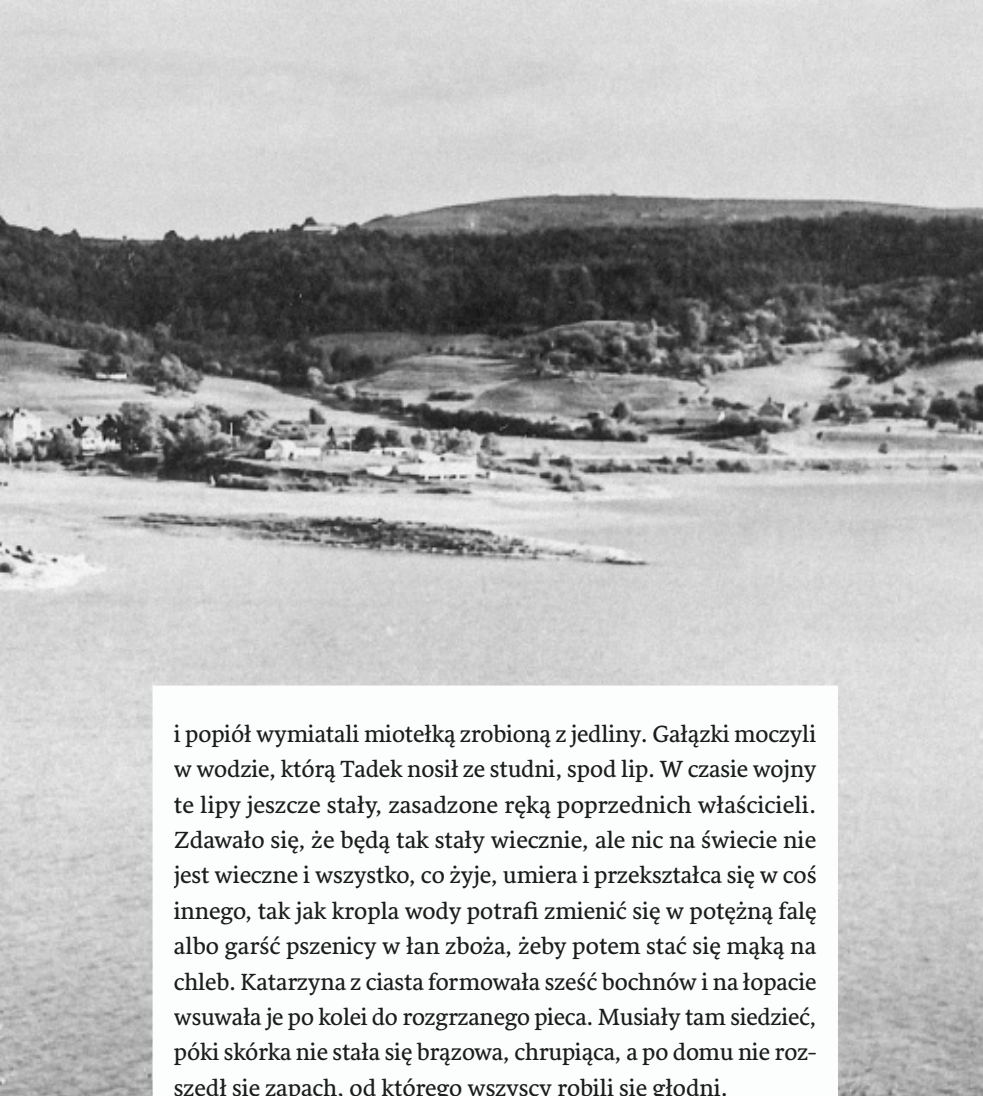


On przyjął pseudonim „Szary”, jego żona „Brzezina”. On organizował siatkę wywiadowczą, ona cerowała partyzantom odzież, szyła opaski i furazerki. Piekła chleb, który ratował życie. Na strychu przechowywała uciekinierów. Przed dalszą drogą do lasu zawsze dawała im zawiniątko z chlebem.

Taki chleb pieczony na zakwasie starczał na długo. Zawsze zostawiała trochę zakwasu na następny wypiek, bo dobry zakwas to podstawa dobrego chleba.

Zakwas, przechowywany w chłodzie, trzeba było karmić, podsypywać razowej mąki, dolewać po łyżeczce wody, aż do następnego wypieku. Wypiek nowego chleba zajmował dwa dni. Najpierw trzeba było ogrzać zakwas, dodać serwatkę, podsypać mąką, odstawić w ciepłe miejsce, bez przeciągów. Zagnieść w dzieży ziemniaków z mąką w proporcji jedna część ziemniaków, cztery części mąki, dodać wody tyle, żeby ciasto odchodziło od ręki. Nie mogło być za luźne ani za twarde, bo by nie wyrosło. Katarzyna miała w tym wielkie doświadczenie. Jeszcze przed wojną słynęła z wyrobu najlepszych chlebów z pytlowanej mąki. Teraz robiła chleby z tego, co miała, a i tak były znakomite.

Kiedy bochny leżały przykryte do wyrośnięcia, trzeba było napalić w piecu suchym drewnem liściastym. Tadek umiał tak porąbać szczapki, że były idealne. Piec musiał być dobrze rozgrzany, więc Julek i Tadek na zmianę dokładali drew. Potem żar



i popiół wymiatali miotłą zrobioną z jedliny. Gałązki moczyli w wodzie, którą Tadek nosił ze studni, spod lip. W czasie wojny te lipy jeszcze stały, zasadzone ręką poprzednich właścicieli. Zdawało się, że będą tak stały wiecznie, ale nic na świecie nie jest wieczne i wszystko, co żyje, umiera i przekształca się w coś innego, tak jak kropla wody potrafi zmienić się w potężną falę albo garść pszenicy w łan zboża, żeby potem stać się mąką na chleb. Katarzyna z ciasta formowała sześć bochnów i na łopacie wsuwała je po kolei do rozgrzanego pieca. Musiały tam siedzieć, póki skórka nie stała się brązowa, chrupiąca, a po domu nie rozszedł się zapach, od którego wszyscy robili się głodni.

Ale nie wolno było kroić gorącego chleba. Trzeba było czekać, aż ostygnie.

Tylko raz Katarzyna „Brzezina” dała partyzantom gorący chleb, świeżo wyciągnięty z pieca. Pół godziny później przyszli Niemcy, ale wtedy nic już nie znaleźli.

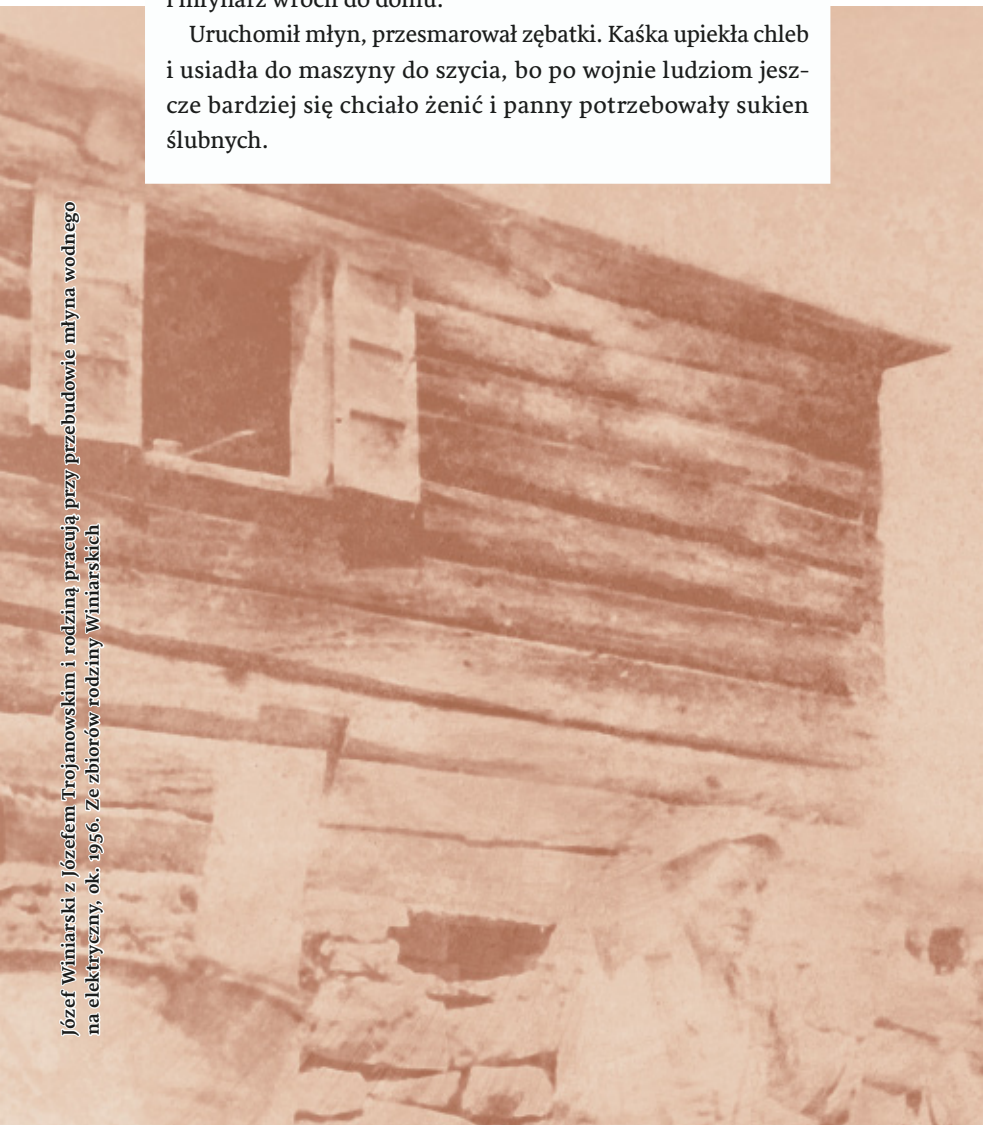
Dopiero w '44 wzięli „Szarego”. Przyjechali po niego z donosu. Wiedzieli czego szukać i gdzie. Wyciągnęli radiostację, ze schowka pod maszyną partyzanckie opaski. Julek miał dziewięć lat i dobrze pamięta, jak ojca zabierali Niemcy. Matki nie było w domu. Trzeba było uciekać, bo wiadomo było, że wrócą i po „Brzezine”, i po nich. Dziećmi zajęli się ci, którym żona młynarza kiedyś dawała chleb. Sama schowała się u krewnych.

↑ Panorama Dunajca, widokówka, fot. S. Arczyński, lata 60. XX w. Ze zbiorów rodziny Winiarskich

Jakiś czas potem Kostilek z Rożnowa przyniósł im wiadomość, że „Szary” uciekł i że jest w lesie. Oczywiście o powrocie do osady nie było mowy. Aż do końca wojny dzieci spotykały się z Józefem w umówionym miejscu, w leśnym jarze, na dnie wąwozu. Z góry płynął wąski strumień, niósł bukowe liście i nadzieję na rychły koniec wojny. „Szary” zarzucał karabin na plecy, pochylał się i dłonią czerpał lodowatą górską wodę ze strugi. Mówił, że to ta sama woda, która porusza młyńskie koło i że mu ta woda daje siłę.

Niemcy zagarnęli wszystko: słomę, drewno, zboże zebrane z pola. Przyjeżdżali, podchodzili z bronią do matki Józefa i mówili, że spalą młyn i osadę, ale nie zdążyli, bo wojna się skończyła i młynarz wrócił do domu.

Uruchomił młyn, przesmarował zębatki. Kaśka upiekła chleb i usiadła do maszyny do szycia, bo po wojnie ludziom jeszcze bardziej się chciało żenić i panny potrzebowały sukien ślubnych.



Woda płynęła, z Rożnowa szła elektryfikacja wsi i Józef pomyślał, że młyn elektryczny jest bardziej nowoczesny. Usiadł z panem Trojanowskim jednego wieczoru i powiedział, jaki ma plan, a potem razem przystąpili do pracy, bo pan Trojanowski to był majster nad majstrami, a młynarz Winiarski wszystko umiał zrobić. Pomagali mu chłopcy, Julek i Tadek. Trzeba było kupić nowe walce i dobudować jedno piętro, a potem podciągnąć linię elektryczną do osady. Dzieciom najbardziej było żal stawów, kiedy sąsiad przyjechał końmi, żeby je zasypać. Koniec z pluskaniem się w płytkiej wodzie latem i z bitwą na kulki z błota jesienią, i ze ślizgawką w zimie, i z podglądaniem piżmaków na wiosnę. Został im potok, więc natychmiast skrzyknęli sąsiadów i całą bandą naznosili kamieni, żeby zbudować tamę i zrobić jaz do kąpieli. Po pierwszym ulewnym deszczu trzeba było wszystko zaczynać od nowa, ale czy dzieci kiedykolwiek tracą siły i zapal do zabawy w wodzie? Dzieci z Roztoki kochały potok, a potok kochał dzieci.





Włodek miał trzy i pół roku, kiedy zmarła babcia i to jego pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Położono ją w trumnie, obok niej leżały przyniesione z lasu jodłowe gałęzie. Ich zapach mieszał się z dymem, bo w izbie palono owoce jałowca. Ludzie przez całą noc modlili się i śpiewali przy świecach. Zza okna wtórował im potok. Z dali, ze wsi słychać było szczekanie psów. O północy w górze nad potokiem odezwał się puszczyk. Dzieci długo nie mogły zasnąć, w końcu jednak zasypiały jedno po drugim ukołysane znanym szumem wody. Rano o ósmej odbył się pogrzeb babci. Wszyscy ją we wsi znali i szanowali, bo to była żona wójta Roztoki i matka młynarza Winiarskiego. Od tej pory wnuki chodziły na cmentarz sadzić bratki przy drewnianym krzyżu. Kilka lat później Tadek i Julek zrobili metalowy krzyż, a ze Skawiny przywieźli czarną tabliczkę z napisem „Bartłomiej Winiarski i Anna Winiarska”. Żeby wszyscy wiedzieli, gdzie leżą pochowani rodzice młynarza.

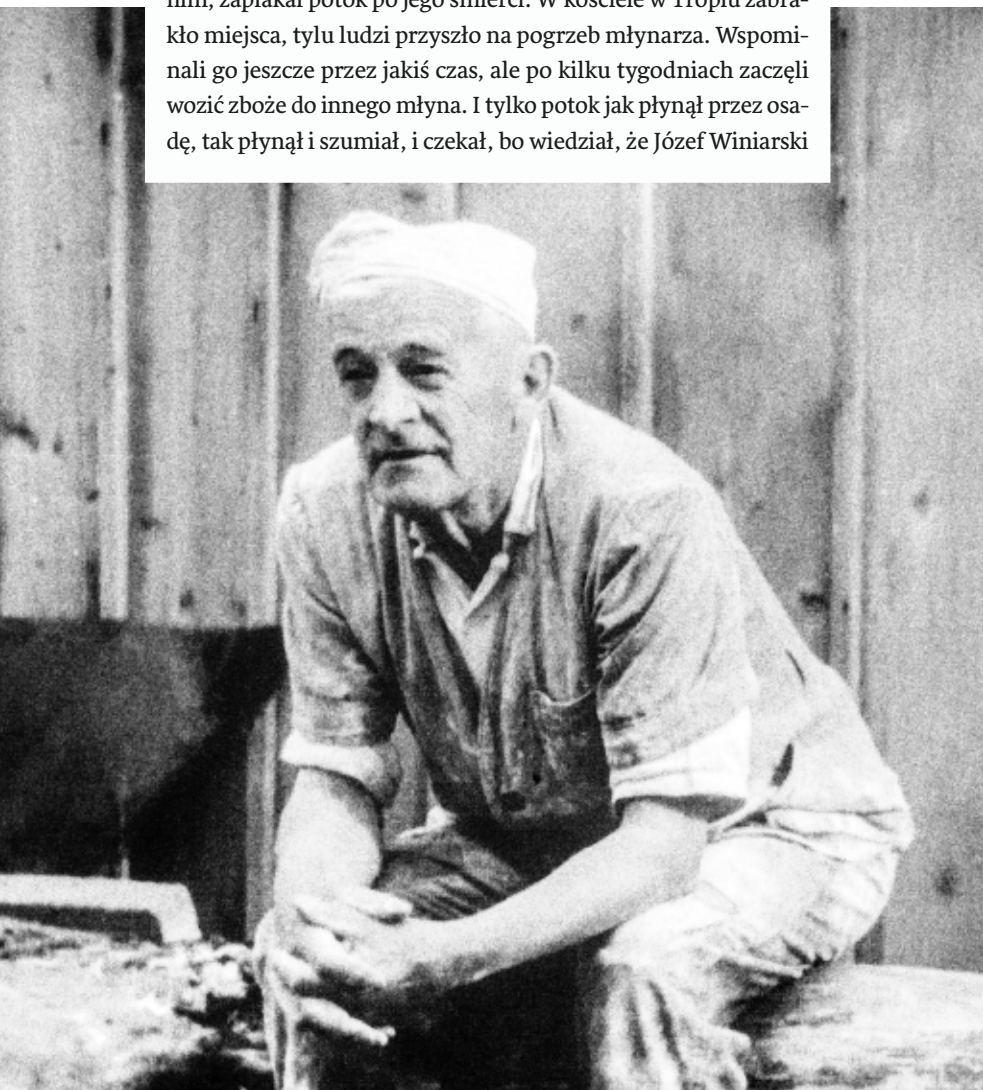
↑ Józef Winiarski z wnuczką Olgą na swoim polu, w tle żyto, lata 70. XX w.
Ze zbiorów rodziny Winiarskich
→ Katarzyna Winiarska z wnuczką Kasią, lata 70. XX w. Ze zbiorów rodziny Winiarskich

Zresztą Bartłomieja Winiarskiego, podobnie jak później jego syna, młynarza, wszyscy w okolicy znali i każdy wiedział, że wójt nie odmawia pomocy, wręcz przeciwnie, sam nieraz proponował, że kogoś powiezie końmi albo zaorze czyjeś pole. Bo konie miał bardzo dobre. I razu pewnego przyszedł do niego sąsiad z prośbą, żeby Bartłomiej pożyczył koni na trzy dni. A on, tak jak siedział, mocny i zdrowy, odmówił. „Za trzy dni te konie będą mi potrzebne” – powiedział. „Na cóż ci to te konie będą potrzebne, kumie?” – zapytał sąsiad, bo myślał, że ten tylko żartuje. „Ano muszą mnie zawieźć na mój pogrzeb, bo za trzy dni umrę” – odparł Bartłomiej. I jak powiedział, tak się stało. Trzy dni później zawiozły go konie na cmentarz. Leżał pod drewnianym krzyżem, dopóki Tadek z Julkiem nie zrobili tego metalowego krzyża z tabliczką.



A potem nagle wszyscy dorośli i wyjechali, w Roztoce został Józef z Katarzyną. Julian zamieszkał w Krakowie, tam miał pracę, tam się urodziły jego dzieci. Przyszły mroźne zimy, upalne lata i gwałtowne burze. Akurat był wtedy z małym Michałem u rodziców, gdy piorun uderzył w lipę koło studni i trzeba było ją usunąć. Michał stał w drzwiach i widział, jak Szymczyk z synem ścinają wielkie, spalone drzewo. Babcia Kasia wzięła chłopca za rączkę i powiedziała, że zrobi mu podpłomyki z miodem, żeby mu nie było żal. Podpłomyki babci robione na blasze to było coś, co kochały wszystkie wnuki w osadzie młyńskiej. Nie było takiego smutku, którego by się nie dało nimi przegonić.

Aż nastąpił taki moment, kiedy stary młynarz nie uruchomił młyna i nic nie mogło uśmierzyć żalu. Góry pochyliły się nad nim, zapłakał potok po jego śmierci. W kościele w Tropiu zabrakło miejsca, tylu ludzi przyszło na pogrzeb młynarza. Wspominali go jeszcze przez jakiś czas, ale po kilku tygodniach zaczęli wozić zboże do innego młyna. I tylko potok jak płynął przez osadę, tak płynął i szumiał, i czekał, bo wiedział, że Józef Winiarski



to był młynarz nad młynarze, ale prawdziwym strażnikiem młyna jest jego wnuk.

Toczyły się wody Roztoki, schodziły z góry i łączyły z Dunajcem. Płynął czas, a potok czekał.

Aż nastąpił taki dzień, pochmurny i zimny, kiedy Michał wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż strumienia, drogą do osady młyńskiej. Minął płot i stanął naprzeciwko domu. Niebo straszło ulewą, przeciekał zawalony dach, rdzewiały walce i korby w młynie. Patrzył na potok, który szumiał na kamieniach i bezustannie płynął w dół i w dół. I było tak, jakby nagle wszystko było na swoim miejscu: i dom, i młyn, i niebo, i ziemia, i on sam.

Michał przystąpił do pracy. Najpierw naprawił dach, osuszył ściany w domu. Zaopiekował się ogrodem. W stodole zrobił izbę pamięci, zebrał wszystkie sprzęty, wyczyścił je, przywrócił im dawny blask. Postawił płot. Naoliwił zamki w drzwiach. O wszystko zadbał, wszystko naprawił. Tylko z młynem miał problem, bo nie pamiętał, nie wiedział, jak on pracował. Nie umiał sam go wyremontować. Musiał do tego przekonać swego ojca, który przecież pomagał dziadkowi przy wszystkich pracach związanych z mieleniem zboża i znał się na tym jak nikt. Początkowo Julian machał tylko ręką i nie chciał o niczym słyszeć. Komu potrzebna stara młyńska osada? Kto będzie teraz miał zboże w taki sposób? Aż pewnej nocy, kiedy woda w potoku huczała i nie dawała spać, zdało się, że ktoś uruchomił koło, że ruszył młyn do pracy. Wyjrzeli obaj na podwórko, ale tylko księżyc świecił nad łąką i puszczyk pohukiwał w oddali.

Następnego dnia bez słowa zabrali się do roboty. Michał robił wszystko tak, jak mu ojciec pokazywał. To wcale nie było proste, rozebrać serce młyna do ostatniej śrubki, a potem wszystko złożyć i uruchomić, żeby pracowało lekko i płynnie, jak dawniej. Ale im się to udało. Julian pamiętał jeszcze melodię, którą odgwiszdywał dziadek Józef za każdym razem, kiedy puszczał wodę na koło. I rozległa się ta melodia ponownie nad osadą, nad Roztoką, nad potokiem.

Józef był młynarzem w Roztoce. Jego wnuk wrócił, by się zaopiekować osadą. Tak miało być.

Dopóki płynie woda i niesie pamięć tej ziemi, dopóty będzie pracowało serce młyna. Bo ma się kto o to zatroszczyć.

Klasztor Reformatów w Kętach, widokówka, pocz. XX wieku. MAKK, domena publiczna





O CZASIE I NALEWCE

Kościół i klasztor Reformatów
w Kętach

Ojciec Ambroży Trausyl wyszedł przed furtę klasztoru i spojrzał w niebo. Gwiazdy powoli bladły, ale do świtu zostało jeszcze sporo czasu.

„Ciągłe ucieka godzina, czas ginie, ileż go umknęło...” – powtórzył w myślach maksymę znaną z klasztornego zegara słonecznego.

W oddali, od strony kęckiego rynku, odezwał się charakterystyczny trel kosa. Blżej, nad łąkami, snuła się mgła, z zarośli słyhać było drozda – to oznaczało, że było ledwie po trzeciej. Ambroży potrafił określać czas po naturalnych sygnałach przyrody. Skoro dopiero obudził się drozd, do jutrzni zostały jeszcze ze trzy godziny. Zakonnik odetchnął głęboko chłodnym powietrzem i wyszedł na ulicę Klasztorną, którą skierował się w stronę podmokłych łąk i majaczących w ciemności drzew. Lubił przechadzki przed świtem, były rodzajem modlitwy i kontemplacji. Ponadto pomagały mu utrzymać tężyznę. Trausyl kilka tygodni wcześniej otrzymał list od serdecznego przyjaciela z Zakopanego, księdza Józefa Stolarczyka, z którym od lat przemierzał tatrzańskie szlaki, i nie przyznałby się do tego przed sobą, ale w skrytości serca marzył, że jeszcze zdarzy mu się wejść z przyjacielem na górski szczyt. Teraz, gdy miał pięćdziesiąt siedem lat i od szesnastu posługiwał w klasztorze Reformatów w Kętach jako definitór, czyli więcej czasu spędzał nad księgami i finansami niż na wycieczkach i badaniu przyrody, czuł, że musi poprawić kondycję, jeśli chce w górach dorównać kroku przewodnikom z Tatr. Z tego też powodu codziennie budził się przed pozostałymi mieszkańcami klasztoru i wychodził na długie spacer. Przy okazji po powrocie nastawiał wielki zegar wbudowany w mury klasztoru. Zegar był stary, starszy niż klasztor i w jakiś szczególny sposób napawało to franciszkanina otuchą. Podobnie jak zmienność pór roku i stałe odradzanie się roślin. Ojciec Ambroży po jutrzni uzupełniał swój zielnik, czasem z pamięci rysował na marginesie łodygi lub gałęzie widzianych o świetle roślin. Z wykształcenia i zamiłowania był wszak botanikiem, z powołania – zakonnikiem świętego Franciszka.

Trwał czerwiec, skończyła się ośmiodniowa nowenna do świętego Antoniego i zaczęły przygotowania do obchodów stulecia kanonizacji świętego Jana Kantego. Na wschodzie poświata

różowiła wierzchołki drzew, gdy Ambroży zbliżył się do kępy leszczyn i młodych grabów, gdzie zazwyczaj odbywał swoje ćwiczenia. Tym razem coś go jednak zatrzymało. Trzasnęła gałązka i spomiędzy drzew, z mgły wyłoniła się sarna. Szła niespiesznie, skubiąc mokrą trawę. Po chwili na przyklasztornej łące pojawiły się druga i trzecia. Były takie piękne! Poruszały się z naturalną gracją. Jedna z nich spojrzała wielkimi błyszczącymi oczami na zakonnika, a on, nie chcąc spłoszyć zwierząt, zatrzymał się w cieniu młodych grabów sąsiadujących z czeremchą. Robiło się coraz jaśniej, mgła unosiła się i Ambroży pomyślał, że pod wieczór przyjdzie zachmurzenie i spadnie deszcz. Byłby ze wszech miar wskazany dla roślin, byle niezbyt rześisty, żeby nie uszkodzić kwiatostanów. Ambroży, wpatrzony w obsypane kwieciami gałązki jednego z krzewów, liczył pręciki, gdy usłyszał westchnienie. Sarny zerwały się i w okamgnieniu zniknęły wśród drzew. Zakonnik rozejrzał się. Nieopodal stała kobieta w ciemnej spódnicy i czarnej chustce na głowie. Ojciec Ambroży dobrze ją znał. Często spotykał ją w okolicy, bo dom Marcychy znajdował się z dala od rynku, blisko klasztoru Reformatów, za potokiem, który tu, w Kętach, ludzie nazywali obcochem. Wystarczyło przejść po ławie przerzuconej na drugą stronę obcocha i już się było przy domu starej zielarki. Ojciec Ambroży darzył ją zaufaniem. Marcycha kiedyś pokazała mu, gdzie kwitnie dziki tulipan, *Tulipa sylvestris*, bardzo rzadki okaz. Dzięki niej franciszkanin odkrył też stanowisko śnieżnicy letniej, *Leucojum aestivum*, która rośla tu, na tych łąkach. Zakonnik jesienią zdradził sąsiadce miejsce w brzezinie, gdzie można znaleźć najpiękniejsze koźlaki. Widział ją później na targu zimą, gdy przed Wigilią sprzedawała suszone grzyby.

Biedna to była kobieta, niby zamężna, ale żyła jak wdowa. Jej mąż w lutym '63 poszedł z jedenastoma innymi powstańcami na Miechów i słuch o nim zaginął. Ani jego ciała nie znaleziono na polu, ani Moskale nie przysłali ukazu, że został zesłany na Sybir, jak ci, z którymi wyszedł z Kęt. I tak od czterech lat Marcycha mieszkała sama w chacie na podmokłych łąkach. Imiała się różnych robót: a to dziecko kołysała u Lankoszków, a to sprzątała u Zajączkowej. Wszyscy wiedzieli, że znała się na ziołach i potrafiła z nich przyrządzać maści i kremy, które pomagały



Mapa katastralna Kęt, 1845. MAKK, domena publiczna

na różne dolegliwości. Wiedziała, które rośliny są trujące, które leczą, które pomogą w połogu, a które usuną kołtun. Mądra to była kobieta, ale bardzo biedna, zniszczona troską i pracą ponad siły.

– Szczęść Boże – odezwał się ojciec Ambroży, podchodząc bliżej.

– Daj Boże, daj Boże. Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje – odpowiedziała, chowając za plecami chustę pełną korzeni i liści wilczej jagody.

– Widzę, że już czas zbioru – powiedział botanik, lecz zaraz dodał: – ale wszystkie części wilczej jagody są bardzo trujące. Żeby się nie pomyliły z czym innym.

Kobieta spojrzała na zakonnika z oburzeniem.

– Mnie? Mnie by się miało co pomylić? Ja mam większy porządek niż aptekarz. Wszystko u mnie zaznaczone, każda roślina w osobnym woreczku. Śmiertelne trzymam osobno, w ciemnicy, w skrzyni, żeby nawet obcy nie wiedzieli, że je mam. Teraz wykopałam korzeni na maści. Owoców suszonych starczy na trutkę z zeszłego roku.





– I na co Marcysze tyle tego? – chciał wiedzieć Ambroży.

– A, mam takie zamówienie – kobieta machnęła ręką. – Od pana Alberta ze dworu.

Ojciec Ambroży zmarszczył czoło. Na początku jego bytności w Kętach pan Albert pojawił się w klasztorze i zażądał widzenia z gwardianem Wiktorem Tychim. Pan Albert dowodził, że jest spadkobiercą księdza Jakuba Dominowicza, notariusza apostolskiego i prebendarza katedry na Wawelu, do którego w XVII wieku należał cały ten teren, kilka hektarów łąk z zagajnikami i obcochami. Gwardian mu na to wskazał, że Jan Żydowski z Żydowa w 1689 roku nabył ziemię, na których teraz stoi kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny wraz z klasztorem Reformatów i ogrodem i od blisko dwustu lat nikt z okolicznej szlachty, spadkobierców ani fundatorów nie zgłaszał pretensji. Pan Albert dowodził jednak, że jest wnukiem ciotki, która była kuzynką Dominowicza, i że gdyby jego wuj, jak nazywał prebendarza katedry na Wawelu, nie rozporządził tak lekkomyślnie majątkiem rodzinnym, to jego, pana Alberta, sukcesja wyglądałaby znacznie korzystniej. Żądał od reformatów zadośćuczynienia za poniesione straty. Miał on wówczas lat bez mała czterdzieści, ubrany był elegancko, po wiedeńsku,

↑ Andrzej Żydowski z Żydowa, fundator kęckiego klasztoru, XVII/XVIII w. Ze zbiorów Klasztoru oo. Franciszkanów w Kętach

i doprawdy nie wiadomo było, czego oczekuje od ubogich braci zakonu żebraczego. Wyszedł ze spotkania z gwardianem, okazując swe niezadowolenie. Najwyraźniej nadal rościł pretensje, bo podburzał miejscowych gospodarzy, tak że znowu zaczęli podorywać płot klasztorny i obsiewać zakonne grunta. Potem zniknął z Kęt tak nagle, jak się pojawił. Kilka lat później gwardian Laurenty dowiedział się, że pan Albert zabiegał w Tarnowie o zniesienie klasztoru. Domagał się, by usunięto zakonników z Kęt i oddano mu ziemie wraz z zabudowaniami. Na szczęście biskup tarnowski Józef Pukałski był w Kętach jeszcze w 1851 roku w związku z poświęceniem pomnika Jana Kantego. Odwiedził wówczas reformatów kęckich i miał o nich jak najlepsze zdanie. Sprawie zniesienia klasztoru nie nadano oficjalnego biegu, bo żądania były niepoważne, jednak pan Albert zostawił po sobie nieprzyjemne wrażenie, jak, nie przymierzając, kilkadziesiąt lat wcześniej ksiądz proboszcz Śmiałowski, bogacz, który zamierzał jeszcze wzbogacić się na podmokłych łąkach reformatów i też chciał się pozbyć zakonników. No, ale to zamierzchłe czasy, nie ma czego wspominać.

– To pan Albert teraz w Bulowicach? – zapytał ojciec Ambroży.

– Przyjechał do barona Edmunda i mówi, że jest jego dalekim pociotkiem, w trzeciej linii. Ja się nie znam, ale pan baron bardzo uprzejmie go przyjął, do dworu zaprosił i kazał się zająć końmi, bo pociotek podobno się na nich zna. No na mój nos, to się niewiele zna, bo szczury mu się załęgły w stajniach.

– Szczury? – Ojciec Ambroży uniósł wysoko brwi i przeżegnał się nabożnie.

Akurat szczurów w Kętach i okolicy bano się jak ognia i ściśle przestrzegano zasad sanitarnych, byleby się trzymały z daleka. Wszyscy pamiętali, jak w mieście szalała zaraza ziemniaczana, która spowodowała głód i sprowadziła szczury, a one z kolei przyniosły epidemię tyfusu. Zmarło wtedy tysiąc osób, brakowało miejsc na cmentarzach. Nie tak dawno to było, w latach czterdziestych. Od tamtej pory ludzie bardzo uważali na szczury. Nieprawdopodobne, no po prostu niepojęte, aby w stajniach Larischów, które były oczkiem w głowie barona – wszak jego konie były znane w całej Europie – żeby akurat tam pojawiły się szczury.



– I dlatego potrzebuje trutki – kontynuowała Marcycha. – Mocnej trutki, bo chce, jak się sam wyraził, wszystkie do ostatniego ogona wytępić.

– I na to te korzenie wilczej jagody – zakonnik wskazał chustę.

– Na to pójdą suszone owoce, korzenie dobre na co innego – wyjaśniła Marcycha.

– Wilczą jagodą można by otruć tuzin drwali – zaśmiał się ojciec Ambroży.

– Trzeba by dużo tego zeżreć, żeby chłopą uśmiercić – odpowiedziała w tym samym tonie, z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Ale ja pociotkowi wszystkiego przecież nie dam. Rozrobię mu, tyle ile potrzeba na szczury. – Marcycha zrobiła z chusty zgrabny tobolek i ruszyła przez łąki w kierunku swojego domu. Ojciec Ambroży szedł w tę samą stronę. Bose stopy Marcychy i sandały zakonnika zostawiały w błocie ślady, które niemal natychmiast wypełniała woda.

– Jeszcze tu za tydzień wrócę po korzeń. Przed nocą świętojańską korzeń wilczej jagody najsilniejszy. Niektórzy biorą na nalewki, ja tylko przestrzegam, żeby z owocem nie mieszać, bo strach. No strach, ale przecież jak się wie, jak używać wilczej jagody,

↑ Poświęcenie pomnika Nieznanego Żołnierza na kętym Rynku, 1925. MAKK, domena publiczna



to śmierci nijakiej nie będzie. Ja na przykład biorę taki korzeń, ucieram z sadłem i każę przykładac na bolące miejsca – trąkotała Marcycha, a ojciec Ambroży z przyjemnością słuchał. – Pomogło staremu Szubertowi, ojcu tego siodlarza, co mieszka w chałupie na Zasolni przy gościńcu. Już prawie nie mógł chodzić, przyniosłam mu korzenia wilczej jagody, kazałam wcierać w kolana i chłop ledwie żeby nie zaczął tańczyć!

Tak gawędząc, dotarli do domu Marcychy. Była to niska drewniana chata otoczona pochylonym płotem. Wchodząc, Marcycha otworzyła kurnik, z którego wylazło kilka nastroszonych kur i zaczęło leniwie grzebać w ziemi.

– Lepiej mieć chałupę za obcochem niż willę przy rynku – żartowała Marcycha już w drzwiach domu. – W razie pożaru ogień przez wodę nie przejdzie, wszystko się spali, a klasztor i moja chata się uratują.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powiedział na pożegnanie ojciec Ambroży i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Słońce weszło jakiś czas temu. Na wierzbie rosnącej przy ulicy Świętego Krzyża sprzeczały się szpaki. To znak, że było już dobrze po czwartej. Najpóźniej przed szóstą Ambroży powinien być z powrotem w klasztorze. Miał zatem dość czasu, by obejść cały kęcki rynek. Ładne to było miasteczko. Niepodobne do tych, w jakich dotychczas mieszkał, a było ich wszak niemało!

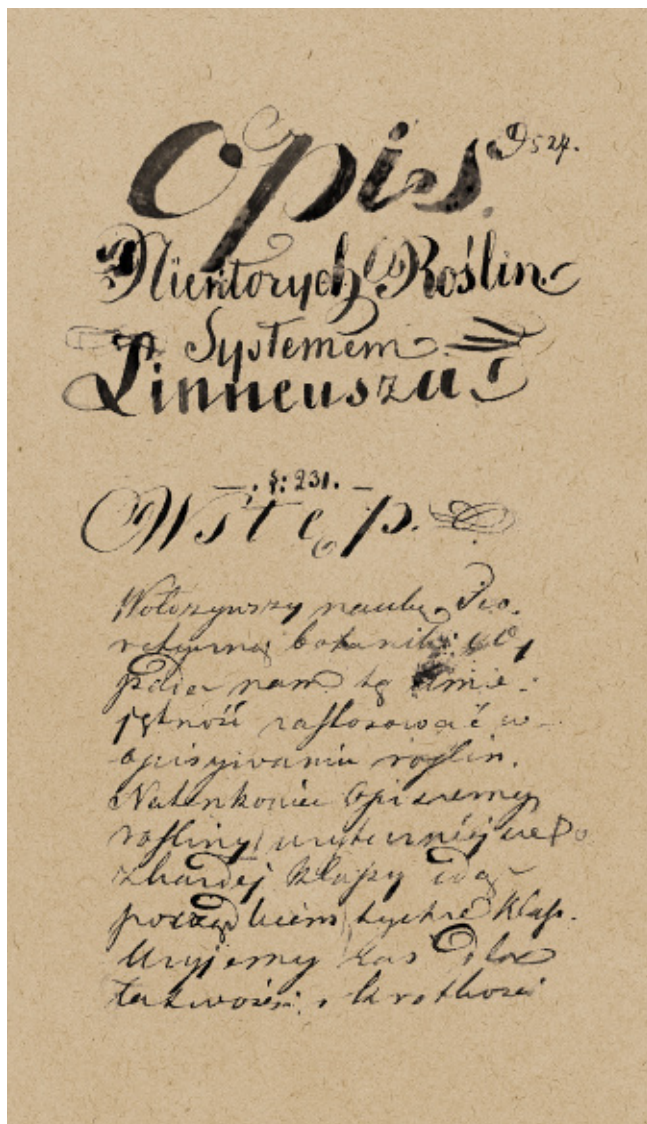
Urodził się w Holicach na Morawach i tam w kościele świętego Marcina rodzice nadali mu na chrzcie imię Tomasz. Ojciec był na tyle dobrze sytuowany, że mógł posłać syna do gimnazjum, do Ołomuńca. Najlepszy przyjaciel Tomasza Trausyla był



Polakiem i z nim chłopak rozmawiał po polsku. Potem razem studiowali w Wiedniu. Trausyl chodził na Botanischer Kurs für Garten und Apotheke, jego przyjaciel zgłębiał teologię. Z tego okresu Trausylowi pozostał nawyk rysowania roślin. Dlatego tak skrupulatnie liczył pręciki w kwiatach. On jako młody chłopak fascynował się botaniką, jego przyjaciela interesował Bóg. Kiedy Tomasz zrozumiał, że biologia jako nauka o życiu jest niczym innym jak zgłębianiem boskich tajemnic? Być może pomogły mu w tym godziny spędzone na dyskusjach z kolegą teologiem. Być może długie górskie wyprawy w Karpaty, a zwłaszcza Tatry, gdzie poprzez kontakt z przyrodą szczególnie odczuwał bliskość Boga? Tak czy owak, Trausyl miał dwadzieścia jeden lat, gdy wstąpił do zakonu reformatów i przyjął imię Ambroży. Od tego momentu znany był także jako Ambroży Reformata albo ojciec Ambroży. Kim byłby, gdyby nie został zakonnikiem? Myślał nieraz, że mógłby podróżować albo uczyć w szkole. Ale przecież życie zakonne tego nie wykluczało, wręcz przeciwnie, jako zakonnik przenoszony był z miejsca na miejsce i uczył w gimnazjach wielu miast. Dzięki regule franciszkańskiej, która zakładała skrajne ubóstwo i zabraniała posiadania jakichkolwiek doczesnych dóbr na własność, Ambroży czuł się wolny i wzbogacony. Czystość i ubóstwo zbliżały go do Boga, otwierały na Jego piękno.

Mijając kęcki rynek, Ambroży wspominał, że nowicjat odbył w Wieliczce. To także było ładne miasteczko, ale nie mogło się równać z urokiem Kęt. Z Wieliczki przeniesiono go do Sądowej Wiszni i do Lwowa. Tam odbył regularne studia teologiczne, lecz pasji botanicznej nie porzucił i chętnie spędzał czas także z botanikami, z którymi nadal utrzymywał serdeczne kontakty.

Pomyślał, że musi się odezwać do młodszego kolegi, Antoniego Rehmana. Ten z całą pewnością doceni i śnieżnicę, i okaz tulipana dzikiego. Antoni Rehman mógł mieć teraz ze dwadzieścia siedem lat, młody człowiek. Tyle miał Ambroży, gdy przyjął święcenia kapłańskie i wyjechał jako wikary do Rawy Ruskiej.



↑ Ambroży Trausyl, *Opis niektórych roślin. System Linneusza*, 1832 (?), karta tytułowa z rękopisu z Archiwum Prowincji Franciszkanów Reformatów, fot. J. Nowostawska-Gyalókey, 2022. MIK, domena publiczna

Tak rozmyślając, zatrzymał się przed pomnikiem świętego Jana Kantego, i nagle uświadomił sobie, że było to bez mała trzydzieści lat temu. Trzydzieści lat. Ile się przez ten czas w jego życiu wydarzyło! Reformat dobrze wspominał pobyt w Rawie Ruskiej, pomógł zorganizować tam szkołę ludową, w której uczył między innymi przyrody. Był dobrym nauczycielem – jego uczniowie na całe życie zapamiętali, na czym polega system Linneusza pomocny w opisie roślin. Ale w Rawie Ruskiej był krótko. Przeniesiono go do Przemyśla, Jarosławia i Biecha, gdzie był gwardianem, a teraz, w klasztorze w Kętach, służył gwardianowi, Augustowi Łypaczewskiemu, pomocą i radą.

Ambroży Trausyl szedł rażnym krokiem. Akurat mijał dom zajezdny, który baron Larisch od dawna wynajmował Abrahamowi Lawnerowi, i przyszła mu do głowy myśl, że zajazd nie pomieści wszystkich pielgrzymów, którzy w tym miesiącu tłumnie zjadą do Kęt na obchody stulecia kanonizacji świętego Jana Kantego. Trzeba będzie coś postanowić w tej sprawie. Klasztor, przy dobrej organizacji, mógłby dysponować wolnymi miejscami, jak to miało miejsce rok temu, w lipcu, gdy Austriacy walczyli z Prusami. Zakonnicy naprędce uruchomili lazaret i na potrzeby żołnierzy oddali trzydzieści łóżek. Teraz zupełnie inne okoliczności, ale gdyby zaszła potrzeba...

Z takich myśli wyrwał Ambrożego kościelny dzwon farny, który wzywał pobożnych mieszczan na poranną mszę. Było wpół do szóstej i ojciec Ambroży skrzyknął w ulicę Klasztorną. Po powrocie do celi zdążył dokonać porannej toalety i akurat trafił na pierwszą modlitwę.

Było ich w klasztorze siedmiu, czterech ojców, trzech braci. Po modlitwie ojciec Ambroży i ojciec Augustyn omawiali organizację obchodów stulecia kanonizacji świętego kęczanina. Dwóch braci poszło do kuchni przygotowywać posiłek, najmłodszy pracował w ogrodzie.

Zegar słoneczny w wirydarzu wskazywał południe. Napis nad nim głosił: „Ciągłe ucieka godzina, czas ginie, ileż go umknęło, zaoszczędzony niech będzie twój czas”.

Czas ginie, zaoszczędzony niech będzie twój czas. Ojciec Ambroży lubił rozważać te słowa.

Wyszedł do wirydarza, by zmówić modlitwę z liturgii godzin. Tam zastał brata ogrodnika, który przyglądał się lekko zwiędniętej róży.

– Szczęść Boże – odezwał się ojciec Ambroży.

– Daj Boże – odpowiedział z westchnieniem ogrodnik, prostując plecy. – Wieczorem będę musiał nanosić wody i podlać cały ogród, inaczej wszystko nam pomarnieje.

– Nie wysilaj się, bracie – rzekł do niego Ambroży. – Po południu spadnie deszcz i zrobi tę robotę za ciebie.

Ogrodnik uniósł głowę i spojrzał w błękitne czerwcowe niebo, na którym nie było ani jednej chmurki.

– Deszcz? – zapytał, powątpiewając. – Niby skąd?

– Zobaczysz.

I rzeczywiście, kiedy wszyscy zakonnicy zebrali się o piątę na obiad, z nieba lunęły potoki.

– Cud jakiś? – zwrócił się ogrodnik do ojca Ambrożego.

– Dedukcja. I znajomość przyrody. Taki deszcz to błogosławieństwo dla roślin – odpowiedział z uśmiechem botanik.

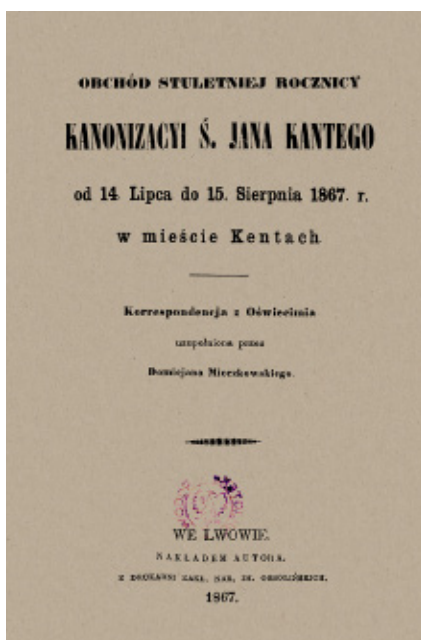
Kiedy przed zachodem słońca wyszedł do wirydarza, by zmówić wieczorny pacierz, tęcza rozpięła swój łuk nad Kętami. „Zaoszczędzony niech będzie twój czas”.





W następnych tygodniach ojciec Ambroży korespondował z księdzem Stolarczykiem. Ich plany tatrzańskie nabierały rumieńców. Z Zakopanego szły wiadomości, że w wyprawie weźmie udział ich wspólny znajomy, przewodnik Wojciech Gąsienica Kościelny, oraz Jędrzej Wała, a może i inni. Ksiądz Stolarczyk pisał, że marzy mu się Przełęcz Śnieżna i Baranie Rogi, szczyt może nie tyle widokowy, co bardzo ciekawy przyrodniczo. Ambroży Trausyl chciał wyruszyć zaraz po obchodach stulecia i odpuszcie Porcjunkuli, który co roku wymagał od reformatów sporego zaangażowania. Ksiądz Stolarczyk miał z kolei zajętą drugą połowę sierpnia. Obaj korespondencyjnie ustalili, że najbliższym możliwym terminem wyjścia w Tatry będzie jesień 1867 roku. Ambroży serdecznie zapraszał przyjaciela do Kęt.

↑ Ksiądz Józef Stolarczyk, fot. S. Bizański, 1889. MT, domena publiczna
 ← Przewodnicy tatrzańscy: Wojciech Roj, Jędrzej Wała (ojciec), Szymon Tatar, Jędrzej Wała (syn), Maciej Sieczka, fot. A. Szubert, ok. 1876–1878. MT, domena publiczna



Obchody stulecia kanonizacji świętego Jana z Kęt miały się zacząć lada dzień i wszystko już było prawie gotowe na przyjęcie pielgrzymów. Proboszcz Franciszek Schottek robił co mógł, aby godnie przyjąć znamienitych gości. Miał się pojawić sam ksiądz biskup tarnowski, Józef Pukalski. Swoją udział zapowiedział także były proboszcz Kęt, ksiądz infułat Franciszek Ślusarczyk. W przygotowania zaangażowani byli wszyscy mieszkańcy Kęt, w tym oczywiście reformaci. Ojciec Ambroży z trudem wypełniał dodatkowe obowiązki, ale nie zrezygnował z przygotowań do górskiej wyprawy.

13 lipca, w przeddzień uroczystości, obudził go świergot ptaków, lecz niebo było zachmurzone. Spomiędzy chmur raz po raz wyglądał rąb księżycy. Ambroży wyszedł z klasztoru i od razu skierował swe kroki w stronę kępy młodych grabów. Jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał, że do jednego z drzew, od strony ulicy Świętego Krzyża, stał przywiązany piękny kary rumak z białą strzałką między oczami. Skubał trawę. Kiedy tylko zakonnik się do niego zbliżył, ten zastrzygł uszami, uniósł łeb i cicho zarżał.

– Piękny jesteś koniku. Ciekawe, gdzie twój jeździec – Ambroży przemawiał do niego czule, głaszcząc go po miękkich chrapach. – Komu się chciało po nocy wyjeżdżać z domu. Zaiste pilna to musiała być sprawa...

↑ Św. Jan z Kęt, rytownik W. Hohnack, według wzoru W. Leopolskiego, 2. poł. XIX w. MNK, domena publiczna

➤ Karta tytułowa broszury *Kanonizacja Ś. Jana Kątego od 14 lipca do 15 sierpnia w mieście Kentach* Domicjana Mieczkowskiego, Lwów 1867. Polona, domena publiczna

Reformat rozglądał się na wszystkie strony, lecz właściciela pięknego konia nie było. W oddali, z wieży kościelnej, pohukiwał puszczyk. Wiatr szarpnął raz i drugi brązowym płaszczem zakonnika. Ojciec Ambroży szybkim marszem ruszył w stronę kęckiego rynku. Przekroczył potok Klasztorny. Kiedy mijał dom Marcychy, wydało mu się, że ujrzał jakąś postać w obejściu, ale w ciemności mogło mu się tak tylko wydawać. Odwrócił głowę jeszcze raz i drugi, żeby zobaczyć, czy to aby nie Marcycha wyszła, żeby wypuścić kury, ale nikogo nie było. Nikt też nie wyszedł za nim na gościniec. Reformat pogrążył się w myślach i po chwili był już przy pomniku kęckiego świętego. Piękna to była postać i jakoś szczególnie bliska Ambrożemu. Czy przez ten płaszcz, który w czasie ulewnego deszczu Jan Kanty oddał ubogiemu, a który sam do niego później w cudowny sposób powrócił, czy przez to, że podzielił się z żebrakiem własnym posiłkiem? Święty rozumiał żebraków. Czy może przez to, że Kęty, choć Ambroży się w nich nie urodził, stały się jego domem i tu czuł się jak u siebie? Sam o sobie myślał jako o człowieku z Kęt i nieraz w oficjalnej korespondencji podpisywał się jako Pater Ambrosius aus Kenty. Zmówił więc przy pomniku świętego pacierz i ruszył w drogę powrotną do klasztoru.

Dzień zapowiadał się pochmurny i pracowity. Reformaci przygotowywali miejsca dla pielgrzymów i wszyscy mieli ręce pełne roboty. W południe, po skromnym, szybkim posiłku, ojciec Ambroży na chwilę wstąpił do kościoła Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, żeby uklęknąć przed krzyżem i się pomodlić. Wnętrze kęckiego kościoła Franciszkanów było zbudowane na modłę kalwaryjską, by skłonić wiernych do kontemplacji drogi krzyżowej i śmierci Jezusa Chrystusa. I takiego właśnie, pogrążonego w modlitwie, zastał go Wincenty Zemanek, sukiennik. Wpadł do kościoła jak po ogień i gdy tylko zobaczył ojca Ambrożego przed ołtarzem, zawołał:

– Księżda! Księżda! Zielarka nie dycha! – wysapał, bo widać szybko biegł przez łąki i obcochy.

Zerwał się ojciec Ambroży, wziął święte oleje i ruszył do chaty starej zielarki. Ledwie Zemanek mógł za nim nadążyć.

– Leć po doktora Stanko. Albo nie, lepiej po Bergera, mieszka bliżej – komenderował zakonnik.

– Najbliżej od zielarki to do reformatów, mnie się zdaje, że ksiądz jej najpotrzebniejszy – tłumaczył Zemanek, ale posłuchał rozkazów ojca Ambrożego i pobiegł do miasta. Ojciec tymczasem wszedł do chałupy Marcychy. Zdumiała go cisza. Ruszył do niskiej izby, pochwalił pana Boga, nikt mu nie odpowiedział, nikogo nie było. Dopiero kiedy wszedł do ciemnicy, pomieszczenia bez okna, na podłodze zobaczył ciało kobiety. Sprawdził jej tętno. Brak. Przyłożył ucho do klatki piersiowej. Nie usłyszał bicia serca. W tej sytuacji zmówił modlitwę za zmarłych i dopiero wtedy rozejrzał się po izbie. Dziwny to był widok, jakby przez ten maleńki pokój przeszedł huragan. Zioła porozrzucone, drzwi do szafek pootwierane, szuflady powyrywane z komody. Nie tak sobie wyobrażał miejsce, gdzie szanowana zielarka trzymała najgłębiej skrywane skarby, trudno dostępne zioła, trujące rośliny, śmiertcionośne mikstury... Ojciec Ambroży tknięty złym przeczuciem zajrzał do skrzyni, w której Marcycha przechowywała niebezpieczne substancje. Skrzynia była pusta, a przecież Marcycha mówiła, że ma dużo suszonych owoców wilczej jagody.

– Pochwalony – powiedział Maurycy Berger, przekraczając próg domu.

– Na wieki wieków – odpowiedział ojciec Ambroży, przepuszczając doktora w drzwiach.

Ojciec Ambroży i Zemanek czekali na zewnątrz, gdy lekarz dokonywał obdukcji.

– Przyszedłem do Marcychy, bo mnie moja do niej co miesiąc wysyła po zioła na kobiecie sprawy. Wchodzę, a tu Marcychy nie ma. Ki diabeł, myślę sobie, żeby chałupę zostawiać otwartą



na oścież, ale nic, wołam, cisza. Zaglądam do izby i wtędy zobaczył, że leży w ciemnicy. Zaraz pobiegłem do klasztoru, bo klasztor najbliższy...

– Dobrze zrobiłeś, że mnie zaalarmowałeś. I tak zielarka leżała, jak ją zastałeś?

– Tak samo – potwierdził cechmistrz.

Lekarz wyszedł z ciemnicy.

– Mogę tylko stwierdzić zgon. I jak na mój rozum, to zielarka nie umarła śmiercią naturalną. Przyczyną było uderzenie w głowę. Mogła się uderzyć, upadając, ale sama by na sobie ubrań nie potargała. Muszę zawiadomić sąd śledczy. A wy będziecie moimi świadkami.

Obaj mężczyźni w milczeniu skinęli głowami.

Sąd śledczy mieścił się przy rynku. Choć siedziba powiatu była w Białej, czego Kęty nie mogły odżalować, to sąd i straż zostawiono w mieście.

Kto zabił Marcychę? Komu mogło na tym zależeć? Tak rozmyślał ojciec Ambroży, gdy po złożeniu zeznań wracał samotnie przez łąki do klasztoru. Porywisty wiatr szarpał poły jego płaszcza, deszcz zmoczył włosy i twarz. W chacie zielarki powinien znaleźć co najmniej cztery woreczki suszonych wilczych jagód, ale ich tam nie było. Reformatę przeszył zimny dreszcz na myśl, co się może stać, jeśli taka trucizna dostanie się w niepowołane ręce.

Następnego dnia do Kęt ściągnęły tłumy pielgrzymów. Uroczystości przebiegały zgodnie z planem. Proboszcz Schottek udekorował i oświetlił całe miasto, przystroił też pomnik świętego Jana Kantego oraz postawił bramę tryumfalną przy domu pani Łowczyńskiej, a drugą mniejszą przy wchodzie na cmentarz. Biskup tarnowski Józef Pukałski przewodniczył uroczystym mszom przez cały tydzień. Były proboszcz parafii kęckiej świętych Małgorzaty i Katarzyny, infułat Ślusarczyk, wygłosił płomienne kazanie. Wysłuchali go wszyscy kęczanie i wielu gości.

W takich okolicznościach śmierć starej zielarki, wdowy nie-wdowy po powstańcu, przeszła prawie niezauważona. Gdy rankiem 20 lipca odbył się jej pogrzeb, za trumną Marcychy szło niewielu żałobników. Wśród nich był ojciec Ambroży Trausyl. Kto mógł chcieć jej śmierci? I w czyje ręce trafiła śmiercionośna roślina?



Zanim zakończyły się uroczystości stulecia kanonizacji świętego Jana Kantego (wszak trwały one cały miesiąc, do 15 sierpnia!), reformaci musieli przygotować się na odpust Porcjunkuli, który odbywał się w ich klasztorze zawsze w święto Najświętszej Maryi Panny Anielskiej i ściągał tak wielu ludzi, że klasztory franciszkańskie budowały na tę okazję specjalne kaplice. Tak było i w Kętach. Co roku bracia konstruowali drewniany budynek przy kościele, gdzie spowyadali pątników, a na zaimprovizowanym ołtarzu odprowadzali wotywy, summy i nieszpory. Ta tymczasowa kaplica Porcjunkuli stała niedaleko cmentarza i miejsca, gdzie franciszkanie urządzili drogę krzyżową. W tym roku jednak zakonnicy mieli tylu wiernych, że i nawet w dobudowanej kaplicy nie mogli ich pomieścić. Ojciec Ambroży od dawna nosił się z pomysłem, by postawić kaplicę Porcjunkuli na stałe, piękną, pobielaną, która by uzupełniała kalwaryjskie wnętrza kościoła. Powiedział o tym gwardianowi, lecz wybudowanie kaplicy to sprawa niełatwa i choć zakonnicy przez lata dokładali starań, do końca wieku nie udało im się tego dokonać. Ambroży Trausyl jako botanik i pokorny sługa Boży wiedział jednak, że im dłużej zasiane ziarno leży w żyznej glebie odpowiednio podlewane, tym lepszy wydaje plon.

– Nawet jeśli ja tego nie doczekam – zwykł mawiać – to przecież kaplica Porcjunkuli powstanie. Zgromadzone już mamy na ten cel niewielkie środki. Z Bożą pomocą się uda.

↑ Widok na kaplicę Porcjunkuli w Kętach, fragment widokówki, ok. 1904.
MuFo, domena publiczna

Tymczasem trzeba było zająć się przygotowaniami do tegorocznego odpustu. Ojcowie spowiadali nie tylko w Kętach, ale służyli pomocą także w sąsiednich parafiach. Ojciec Ambroży był bardzo zajęty, jednak nie zaniedbał codziennych spacerów i ćwiczeń.

W święto Matki Boskiej Anielskiej obudził się nieco później niż zwykle. Sierpniowe słońce już wzeszło nad miasteczkiem. Ojciec Ambroży ubrał się w pośpiechu i po kilku minutach był już wśród drzew. Z daleka usłyszał rżenie konia, lecz nie podchodził do niego, bo nie miał czasu. Właśnie zamierzał wykonać serię pompek, gdy usłyszał strzał. Potem drugi. Zerwał się na równe nogi, złapał swój brązowy płaszcz wiszący na sęku i wypadł z zagajnika na łąkę. Przy potoku Klasztornym leżała sarna. Widocznie spragniona chciała napić się wody, podeszła do strumienia i tak wystawiła się na strzał myśliwego. Ojciec Ambroży, niepomny zagrożenia, kilkoma susami dobiegł do rannej sarny. Próbowала dźwigać łeb, lecz była słaba, bo z rany pod łopatką uszło zbyt wiele krwi, która zmieszana z wodą płynęła teraz w kierunku klasztornego ogrodu. Patrzyła tylko na zakonnika ogromnymi błyszczącymi oczami, w których znać było wielkie cierpienie i przeczucie zbliżającego się końca. „Ciągłe ucieka godzina, czas ginie...” – ojcu przypomniały się słowa napisane na murze wirydarza. Ukląkł przy niej i zwiesił głowę, bo nie mógł pojąć, jak człowiek może strzelać do bezbronnych zwierząt.

– Najlepszym okresem polowania na sarnę jest maj, ale i na początku sierpnia pozyskać można piękny okaz. Prawdę mówiąc, liczyłem na lepsze trofeum – rzekł mężczyzna, podchodząc do ojca Ambrożego. – Zdarza się, że w okresie rui wyłazą z ukrycia najdorodniejsze samce. To tu – wskazał martwą sarnę – niewarte było strzału – dodał, odwracając jej łeb czubkiem buta.

Ojciec Ambroży podniósł się wolno i spojrzał w twarz myśliwego. Pan Albert miał nalane policzki porośnięte siwiejącym zarostem. Pod zieloną kurtą rysował się wypukły brzuch, ściśnięty niżej skórzanym pasem. Wysokie buty zostawiały w mokrej ziemi głębokie ślady.

– To kościelna ziemia. Nie zgadzamy się na polowanie w pobliżu murów klasztornych – rzekł Ambroży, zaciskając pięści.

Mężczyzna zaśmiał się głośno.

– Nie masz zakazów przed szlachetnie urodzonym mężczyzną honorującym kodeks rycerski! Od kiedy to Larischom nie wolno strzelać w lesie? Może odkąd zanadziliście się tu, na mojej ziemi, he? – mówiąc to, odwrócił się i odszedł.

Ojciec Ambroży patrzył za nim, aż ten wsiadł na konia i po chwili odjechał w stronę Bulowic.

Zakonnik nie mógł się uspokoić po tym spotkaniu. Poprosił gwardiana, by pozwolił mu spędzić dzień w samotności, kontemplując mękę Pana. Ojciec August popatrzył na niego z troską, ale o nic nie pytał.

Ojciec Ambroży długo klęczał przed wizerunkiem świętego Franciszka. Obok, po prawej stronie znajdował się obraz świętego Antoniego z Padwy. Dalej *Wizja świętego Jana z Kęt*, którą dwadzieścia lat wcześniej specjalnie dla reformatów namalował Jan Stankiewicz z Oświęcimia. Wszyscy trzej kochali zwierzęta. Żaden by ich nie skrzywdził.

Jak można zabić kogoś, kto idzie napić się wody? Jak można strzelić do sarny, która ufna wychodzi do wodopoju? Ojciec Ambroży ukrył twarz w dłoniach.

Kolejne dni przyniosły tak mu potrzebne ukojenie. Ksiądz Stolarczyk pisał z Zakopanego, że ich wyprawa jesienią jest pewna. Obmyślał długą i ciekawą przyrodniczo trasę. Ambroży natychmiast mu odpowiedział, że jest gotów, lecz nim poszedł na pocztę, odwiedził go kęcki botanik, ksiądz Eugeniusz Janota, który jak raz zjechał ze Lwowa do rodzinnego miasta, by wziąć udział w obchodach stulecia kanonizacji Jana Kantego. Ambroży i Eugeniusz mieli wiele wspólnych tematów. Łączyło ich umiłowanie Tatr, znajomość roślin i szacunek dla zwierząt dziko żyjących w górach. Ponadto obaj kochali Kęty!

Ambroży opowiedział koledze o swoich tatrzańskich planach, Eugeniusz prosił go, by zwrócił uwagę na stanowiska świstaków, gdyby takowe spotkał na trasie, bo trzeba je koniecznie objąć ochroną. Janota był gotów z własnej kiesy zapłacić za straż tatrzańską, która by pilnowała przestrzegania praw zwierząt. Przy okazji, spacerując po wirydarzu, Ambroży opowiedział o zdarzeniu sprzed kilku dni. Obraz umierającej sarny stał mu przed oczyma. Opisał zachowanie pana Alberta. Janota zainteresował się koniem.



– Kary koń z białą strzałką? Karol baron Larisch, u którego byłem przejazdem, bardzo był niezadowolony, bo mu właśnie ten koń okulał, a był to jego pokazowy rumak. Nie wiadomo, co się stało w tę nogę. Nikt się nie przyznał, że używał konia w terenie...

– Ciekawe, widziałem go więcej niż raz na podmokłych łąkach przy klasztorze... – ojciec Ambroży zamilkł.

Zegar słoneczny w wirydarzu wskazał piątą, więc duchowni udali się do refektarza na posiłek. Potem ksiądz Eugeniusz pożegnał się z przyjacielem.

– Bądź dobrej myśli. Niech cię Bóg prowadzi w górach.

Pod koniec lata ojciec Ambroży jeszcze mocniej zaangażował się w pracę duszpasterską, głosił kazania, spowiadał, odwiedzał wiernych w okolicznych wsiach. Często można go było spotkać i na kętским rynku, bo lubił przystanąć przy świętym Janie.

↑ Eugeniusz Janota, grafika A. Regulskiego według wzoru J. Buchbindera, 1879.
Polona, domena publiczna



Jesień szarugą zaciągnęła niebo, deszcze nie ustawały od wielu dni. Mieszczanie chowali się po domach lub spędzali czas nad kuflem piwa w zajeździe Lawnera. Ojciec Ambroży wracał piechotą z Bulowic, gdzie przez cały dzień spowiadał i odwiedzał chorych w parafii świętego Wojciecha. Padał uporczywy deszcz i Ambroży głębiej naciągnął kaptur wełnianego zakonnego płaszcza, błogosławiąc kęckich sukienników, od których go otrzymał. Był już niemal przy pomniku świętego Jana, gdy nagle usłyszał za plecami czyjś głos.

– Szczęść Boże. Tyś ubogi i jam ubogi. Obojeśmy żebracy.

Ojciec Ambroży odwrócił się i ujrzał biedaka, który w zgrzebnej koszuli i portkach przewiązanych sznurkiem siedział pod drzewem naprzeciwko świętego.

– Niech cię Bóg błogosławi, dobry człowieku – powitał go zakonnik. – Skąd przybywasz?

– Z Bulowic. W stajni u Larischa spałem dwie noce, aż mnie stamtąd przegonili. Na drogę dostałem od jego pociotka butelkę nalewki, żebym nikomu nie mówił, com widział i słyszał w tej stajni. Przysiągłem, że nikomu nie powiem.

Ojciec Ambroży nic nie rzekł, bo nie chciał biedaka narażać na wyjawienie tajemnicy, ale ten sam zaczął mówić.

– Słyszałem, jak mówił do jednej dziewczki, że mieszkać kątem całe życie jak ubogi krewny i liczyć na łaskę barona to niegodne człowieka jego pokroju, znaczy – żebrak czknął – rycerza. On się zasadza na klasztor! Sam chciałby tam mieszkać jak w zamku,

zamiast pracować w stajni. – Chrząknął i po chwili dodał – No, ja się z tej stajni wyniosłem.

– I dokąd to Bóg prowadzi? – zmienił temat zakonnik.

– W Kętach zostać nie mogę, pójdę dalej w świat. Do Białej może? W Białej teraz powiat, może zajmą się takim jak ja przed mrozami – powiedział i zadrżał z zimna.

– Nie masz kapoty? – zapytał ojciec Ambroży. Żebrek w odpowiedzi tylko się zaśmiał, ukazując bezzębne dziąsła.

Wówczas Ambroży rozwiązał sznurek pod szyją, zdjął wełniany płaszcz i zarzucił go na ramiona ubogiego.

– Jakże to tak? – ten, zdumiony, zadał pytanie.

– Ja już jestem prawie w domu, a przed tobą długa droga. I pogoda zła. Idź z Bogiem.

Żebrek wyjął butelkę i podał zakonnikowi.

– To wszystko, co mam – rzekł mężczyzna.

– Nie, dziękuję – odmówił Ambroży. – Jak się pospieszę, zdążę do klasztoru na kolację.

To powiedziawszy, oddalił się ulicą Klasztorną i po chwili zniknął z oczu zaskoczonemu żebrakowi.

I on wkrótce poszedł w swoją stronę, ściskając w dłoni zieloną butelkę.

Kolejne tygodnie biegły szybko, dni stawały się krótsze, Ambroży intensywnie ćwiczył przed wyprawą w Tatry, aż nastąpił taki dzień, że spakował swój ekwipunek, włożył porządne buty i wyjechał na kilka dni w góry.

Po powrocie przyjęto go w Kętach jak bohatera. Głośnym echem odbiły się w świecie sukcesy Ambrożego Reformata i Józefa Stolarczyka, którzy jesienią 1867 roku jako pierwsi zdobyli Baranie Rogi i to jednym z najtrudniejszych wejść. Przy okazji Ambroży uzupełnił swój zieleńnik i wykonał wiele dokładnych rysunków i pomiarów z natury.

Jakież było jego zdumienie, kiedy przy kolacji gwardian wyciągnął z piwnicy butelkę mocnej nalewki i rzekł:

– Dziś nadszedł ten dzień, na który czekaliśmy. Na wieść o zdobyciu Baranich Rogów pan Albert, ów pociotek barona Larischa, przysłał nam do klasztoru cztery butelki własnoręcznie zrobionej nalewki. Na zgodę i pożegnanie, jak zaznaczył. „Co złego, to nie ja”, napisał w bileciku dołączonym do podarunku.

Obiecaliśmy modlić się za niego i wznieść toast – co rzekłszy, napełnił siedem kieliszków. Po refektarzu rozszedł się ostry zapach alkoholu.

W tym momencie ktoś zakolała do furty klasztornej. Jeden z braci poszedł otworzyć i po chwili wszedł do refektarza w towarzystwie śledczego, który, pochwaliwszy Boga, zwrócił się do ojca Ambrożego.

– Przyszedłem, gdym się tylko dowiedział, że ojciec szczęśliwie wrócił do Kęt. Mam bowiem dla ojca coś, co być może do niego należy – i mówiąc to, podał mu jego wełniany brązowy płaszcz, który Ambroży podarował żebrakowi w tamten dżdżysty dzień.

– Tak, to mój płaszcz. Skąd wziął się u sędziego śledczego? Czy ten ubogi...

– Został znaleziony martwy nieopodal Białej. Miał na sobie ten płaszcz i ludzie mówili...

– Martwy? – ojciec Ambroży nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Zatrął się wilczą jagodą, co przypuszczał doktor Stanko, a potwierdził aptekarz, gdy zobaczył ciało żebraka. Ludzie mówili...

– Wilczą jagodą? Skąd w październiku wilcze jagody? – zapytał botanik. Śledczy wzruszył ramionami.

– Ludzie mówili, że przed śmiercią wiele opowiadał o dobroci ojca Ambrożego...

– O mnie?

– I o panu Albercie z Bulowic, który dał mu...

– Butelkę nalewki własnoręcznie robionej – dokończył ojciec Ambroży. – Bracia – zwrócił się do obecnych zakonników. – Bóg nas strzegł. Zaoszczędzony został nasz czas. W tych kieliszkach jest nasza śmierć. Wiem, skąd pochodzą jagody, z których zrobiono tę nalewkę. I wiem, kto zabił tę, która je zbierała.

Jeszcze tego samego wieczoru ojciec Ambroży udał się wraz z sędzią śledczym do barona, lecz ten nie umiał im pomóc, gdyż jego domniemany pociotek wyjechał i nie powiedział dokąd.

– Ale obiecał, że wróci, gdy wyjaśni jakieś swoje zawile plany matrymonialne. Wspominał o ślubie z Habsburżanką, tylko że on nie z tych Larischów, żeby... – baron zamilkł dyskretnie.



– To znaczy, za przeproszeniem ojca, planował zamieszkać z nią w klasztorze. Doprawdy, to absurd...

– Niestety, był gotów wykonać swój plan – wyjaśnił sędzia śledczy. – Po trupach.

Pan Albert najwyraźniej nie zrealizował swoich ambitnych planów, bo nikt o nim nigdy więcej nie usłyszał. Może zamieszkał gdzieś indziej jako pociotek i niedoszły spadkobierca?

W listopadzie, na Wszystkich Świętych, ojciec Ambroży odwiedził cmentarz. „Ciągłe ucieka godzina, czas ginie, ileż go umknęło, zaoszczędzony niech będzie twój czas” – wyszeptał. Zapalił świeczkę i na kopczyku usypanym z ziemi zasadził kilka cebulek.

Wiosną na grobie Marcychy wyszły kwiatki. Śnieżnica i dziki tulipan przyjęły się nadzwyczajnie.

Dom Okrzośów w Andrychowie (dziś Muzeum Historyczno-Etnograficzne),
lata 60.-70. XX w. Ze zbiorów rodziny Szlagorów





O PRZEZNACZENIU I KACZCE

Muzeum
Historyczno-Etnograficzne
w Andrychowie



W czasie Wielkiej Wojny wojsko austriackie zatrzymało się daleko, daleko od Andrychowa, między Tarnopolem a Stanisławowem, pod Buczaczem. Tam rozegrała się wielka bitwa. Dziadek czasem opowiadał o tym wnuczce, kiedy w słoneczną niedzielę szli do najlepszej andrychowskiej cukierni państwa Burych na lody.

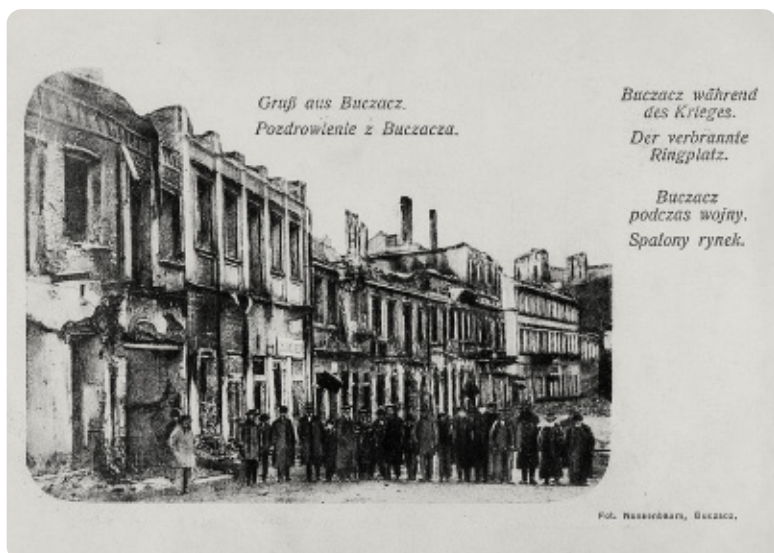
W austriackim wojsku służyło wielu andrychowian. Opuścili swoje domy na początku wojny i powędrowali z frontem na wschód, tam, gdzie ich zagnały cesarskie rozkazy. Aż stanęli pod Buczaczem. Miasteczko rozciągało się przed nimi, w wieczornym słońcu błyszcząły dachy domów i wieże cerkwi Podwyższenia Krzyża Pańskiego oo. Bazylianów i kościoła farnego Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W oddali widać było ruiny zamku Buczańskich i Potockich. Dalej ciągnęły się pola błękitniejące w wieczornym półmroku niczym łany lnu w okolicach Andrychowa. Żołnierzy rozlokowano w pobliskich wsiach, kwatery mieli w chatach, u ludzi. Niektórzy spali w stodołach, z głowami na zasobnikach, z karabinami przy boku.

Maciek Szlagor i Adam Okrzoś trzymali się razem. Obaj pochodzili z Andrychowa, obaj mówili po polsku, obaj wieczorami mogli porozmawiać o tym, że tęsknią za bliskimi, których zostawili w domu. Maciek pokazywał Adamowi niewyraźne zdjęcie kobiety w sukni, z chłopcem w marynarskim ubranku.

↑ Pocztówka z Buczacza, Księgarnia S. Halberga w Buczacz, 1911.
Polona, domena publiczna

– Franek ma już dwanaście lat, niedługo skończy trzynaście – mówił, patrząc na syna. Adam nie chodził do fotografów, nie miał zdjęcia żony, ale także zostawił w Andrychowie dzieci. Obaj, i Maciek, i Adam, powołanie do wojska dostali na początku Wielkiej Wojny. Kilka dni później otrzymali austriackie mundury, karabiny i ruszyli na front. I byli teraz daleko na wschodzie, w Galicji. Nieubłagane zbliżał się front rosyjski. Generał cara Mikołaja II, Aleksiej Brusilow, miał niewielką, ale jednak przewagę nad wojskami Austro-Węgier. Jego plan zakładał atak na odcinku prawie 500 kilometrów, przełamanie frontu, błyskawiczne zwycięstwo i zajęcie Kowla i Lwowa. Bitwa zbliżała się szybciej niż sokół spadający na swą ofiarę. Jutro lub pojutrze rozpęta się tu piekło. Rosjanie staną naprzeciwko austriackiej artylerii i kawalerii. Będzie słychać wrzask, rżenie koni i strzały. I ludzie będą zabijać ludzi.

Tymczasem wieczorne niebo nad Buczaczem było pogodne. Adam z Maciem szli pylistą drogą nad Strypą i wspominali andrychowską Wieprzówkę. A nie była to jedyna rzeczka, z jaką byli związani, bo Andrychów przecinało wiele strumieni i kanałów. Aż dziw, że z dala od domu tęsknić można za młynówką albo łańcem lnu. I że wszystko się z tym kojarzy.



↑ Zniszczony podczas wojny rynek Buczacza, pocztówka, fot. Nuzzenbaum, 1916.
Polona, domena publiczna

Dzień był długi, noc krótka, jak to w czerwcu. Mężczyźni trafili na kwaterę do chaty położonej na końcu drogi. Dotarli do niej przed północą, zapukali i weszli w niskie progi, kłaniając się gospodarzowi w drzwiach. Na zydłu przy piecu siedział siwy starzec bez nogi. Gdy żołnierze weszli, wstał i, nawet nie patrząc na nich, podłożył drewno pod glinianym piecem, na którym gotowała się woda. Starzec chodził po izbie, podpierając się kosturem. Niechętnie zaproponował żołnierzom herbatę. Nie odmówili. Mężczyzna wrzucił do metalowego kubka garść ziół i zalał je wrzątkiem. Buchnęła para i wokoło rozszedł się zapach przypominający Adamowi sianokosy w Andrychowie.

– Tęskno wam – burknął gospodarz. Obaj skinęli głowami. Nic więcej nie rzekł, tylko postawił przed nimi kubek naparu.

Pierwszy sięgnął po niego Adam, wypił połowę i oddał towarzyszowi. Ten przejął herbatę z rąk przyjaciela i wypił do dna. Mężczyzna przyglądał im się chmurnie.

– Urodziliście się w jednym miejscu i w jednym miejscu spoczniecie – powiedział wpatrzony w dno kubka. – Wspólna wam mogiła, wspólny los.

Adam i Maciek spojrzeli po sobie niepewnie. Ogień pod kuchnią trzasnął i przygasł.

– Ale co śmierć złączy, złączone będzie na zawsze. Splątane korzenie drzew pod ziemią łączą się tajemnie, by po latach jednym wyrosnąć pnem.

Mężczyźni nie rozumieli słów starca, lecz on niezrażony ciągnął:

– Nie minie dzień i będziecie przeszłością i płakać będą po was wasze kobiety, lecz nie minie pół wieku, gdy wielka miłość połączy waszą krew. – Mężczyzna westchnął. – I po co wam tu było iść, w inne strony trzeba było wam się skierować. – Starzec podniósł na nich wzrok. – Co po was tu zostanie? Kości? Nie kości – zaprzeczył sam sobie. – Owoce – rzekł dobitnie. – Po owocach was poznałem. Zostaną po was owoce. Idźcie spać. Co ma być, to będzie. – To powiedziawszy, wstał i stukając kosturem, wyszedł z chaty. Adam z Maćkiem rozejrzeli się po małym wnętrzu. Pod oknem stało łóżko przykryte derkami.

– Ty się połóż na wyrku, ja sobie rzucę koc obok pieca – zaproponował Adam i jak powiedział, tak zrobił.

Obudzili się o świcie. Nigdzie nie było gospodarza, pokłonili się więc domowi i dołączyli do swojego oddziału.

Rosjanie najpierw krótko ich ostrzelali, jakby próbowali sił swojej artylerii, po czym uderzyli na nich całym impetem. Dywizje rosyjskie przełamały front i parły dalej, zostawiając za sobą tysiące martwych ciał.

Kiedy dziadek opowiadał to wnuczce, bitwa pod Buczaczem była już historią. Na andrychowskim cmentarzu postawiono pomnik poległych w Wielkiej Wojnie żołnierzy. Wśród wielu nazwisk widnieją obok siebie Adam Okrzos i Maciej Szlagor, których połączyło przeznaczenie.

Maciek Szlagor nie wrócił do domu, tak jak nie wróciło wielu chłopaków i mężczyzn, którzy w rozmaitych mundurach i pod różnymi flagami ginęli w błotnistych okopach przez wszystkie lata tej wojny. Jego żona otrzymała list, w którym poinformowano ją o śmierci męża. Przez długi czas nie mówiła dzieciom, że tato nie żyje. W końcu Franek usłyszał od sąsiadów. Nie rozpłakał się wtedy, tylko potem przez wiele nocy nie mógł spać.



↑ Anna, wdowa po Macieju Szlagorze, z dziećmi, drugi od lewej Franciszek, 1923. Ze zbiorów rodziny Szlagorów



Mijały lata, dzieci rosły, Franek został szewcem i otworzył zakład na rynku naprzeciwko kościoła. Ożenił się z Anastazją, urodziło im się dwóch synów. Szlagorowie mieszkali w kamienicy przy samym rynku, ich okna wychodziły na targ. W dni targowe rynek andrychowski od rana rozbrzmiewał wieloma głosami. Anastazja Szlagorowa zamykała wówczas okna, żeby nadmierny hałas i intensywne zapachy nie przeszkadzały w domu. Chłopcy, Janek i Edek, byli jeszcze mali, kiedy opowiadała im o założeniu miasta i o tym, że od stuleci do Andrychowa ściągali handlarze z całej okolicy, a nierzadko i ze świata.

– Kiedy kupcy zaczęli przyjeżdżać do Andrychowa, żeby sprzedawać towary i kupować nasze wyroby, tego najstarsi ludzie nie pamiętają. Gdy jeszcze Andrychów był wsią, otrzymał od króla

↑ Ślub Anastazji i Franciszka, 1938. Ze zbiorów rodziny Szlagorów

↑ Kościół w Andrychowie, pocztówka, przed 1922. Kolekcja Andrzeja Janusa, AGA, domena publiczna

przywilej na cotygodniowe targi, a gdy stał się miastem, król Stanisław August Poniatowski pozwolił, żeby odbywało się tu dwanaście jarmarków na rok – mówiła, kiedy chłopcy ciągnęli ją na watę cukrową lub na karuzelę. Anastazja ulegała, ale przy okazji uczyła synów historii. Lubiała łączyć naukę z zabawą i zawsze powtarzała, że wychowanie dzieci wymaga nieustannej czujności. Chłopcy niby nie słuchali, ale potem w szkole okazało się, że obaj mają najlepsze oceny z historii.

Po szkole chłopcy wracali do domu na obiad. Czasem mama wysyłała ich po tatę do warsztatu. Wracając, ojciec opowiadał im o swoim mieście, o tym, że Andrychów był potęgą tkacką, kiedy lniane tkaniny trafiały stąd do Wenecji, Amsterdamu, Hamburga, Lwowa, Moskwy, a nawet do Stambułu. W najodleglejsze miejsce wozili andrychowscy handlarze tutejsze płótna, dreluchy i batysty i wszędzie cieszyły się one dużym powodzeniem. Nieomal w każdym domu stały krosna, na których mieszkańcy Andrychowa tkali len. Ale nic nie trwa wiecznie, powiał wiatr zmian, len zastąpiła bawełna, błękitne pola dookoła powoli więc obsadzano kartoflami albo prosem. Domowe krosna odeszły do lamusa, kiedy pojawiły się mechaniczne zakłady braci Czeczowiczka, a jednak andrychowskie tkactwo nadal było dumą miasta.



Len pospolity (*Linum usitatissimum*), il. z książki R. Duppa, *Elements of the Science of Botany, as Established by Linnaeus*, London 1812 ↓



– Przy Garncarskiej jest dom pani Zielińskiej, naprzeciw której mieszka pani Kołackowa. Jedna bez drugiej żyć nie może. Co jedna ma w niedzielę, druga musi mieć w poniedziałek. Pani Zielińska, mądra kobieta, zobaczyła, że wszyscy tkają, a nikt nie ma magła, i jeszcze za Austriaka, przed wojną, otworzyła magiel w swojej szopie. Miałem tyle lat co ty – ojciec szturchnął młodszego Janka – kiedy matka mnie z prześcieradłami i obrusami wysyłała do magła pani Zielińskiej. Ale zaraz po wojnie pani Kołackowa zobaczyła, że magiel się bardziej opłaca, zarobiła trochę pieniędzy u hrabiny Bobrowskiej i sprawiła sobie automatyczny, nowoczesny. Nie tak dokładny jak pani Zielińskiej, ale szybszy. Więcej mogła pani Kołackowa wymagać, krótsze miała terminy. Wtedy pani Zielińska zatrudniła żydówkę do pomocy, Ryfkę, koleżankę mojej siostry i kuzynek. Dziewczyny trzymały się razem i czasem wpadały do magła jej pomagać. I wtedy robota u pani Zielińskiej szła szybciej niż u pani Kołackowej. Do tej pory oba magle pracują – mówił Franek Szlagor do swojego kilkuletniego syna. – W Andrychowie nic się nie psuje – dodawał.

↑ Obrywanie główek lnu na grzebieniu, il. z książki Cz. Stuchockiego, *Uprawa i przeróbka lnu*, Warszawa 1939. Polona, domena publiczna
→ Fragment rynku z kamienicą, w której mieszkali Szlagorowie (wysoki dom pośrodku), międzywojnie. Ze zbiorów rodziny Szlagorów

Franciszek Szlagor, syn poległego pod Buczaczem Macieja, jako dorosły mężczyzna cieszył się zasłużenie dobrą sławą wśród andrychowskich rzemieślników. Jego zakład znajdował się w samym centrum, a buty – jeszcze przed wojną – naprawiali u niego Polacy i Żydzi. Wszyscy chwalili jego robotę, bo nie dość, że był solidny, to życzliwy i uprzejmy. I znał się na żartach, a humor, bywało, miał cięty. Zdarzyło się kiedyś, dawno, że znajomej z Garncarskiej uciekła świnia. Wtedy wszyscy na Garncarskiej mieli jakieś zwierzęta, krowy czy kury. A pani Łukasikowa hodowała świnkę w zagrodzie, od strony stawu. No więc tej Łukasikowej uciekła świnia i biegła po ulicach. Goniła ją kobiecina, ale w końcu świnia wyleciała na rynek. Ludzie pootwierali okna, bo jednak był to niecodzienny widok, galop świnii po andrychowskim rynku. Garncarska, choć w centrum, była jednak na uboczu i nikomu nie przeszkadzało, kiedy rano piały koguty, a pod wieczór ryczały krowy, domagając się dojenia. Ale biegająca świnia? Tymczasem świnia zrobiła rundkę po najbardziej reprezentatywnej części Andrychowa i pognała przez łąki w kierunku stawu. Co się z nią później stało, łatwo się domyślić. A kiedy pojawił się pomysł przyłączenia terenów wiejskich do miasta, czego ludzie nie chcieli, bo powodowałyoby to tylko kłótnie, Szlagor zadał jedno pytanie:

– Dość mieliśmy kłopotów z połączeniem wsi Andrychów z miastem Andrychowem. Po cóż nam teraz cudze, skoro nasze własne świnie biegają po rynku?





Śmiali się z tego ludzie i pomysł upadł. Nic więc dziwnego, że szewc był lubiany i miał liczne grono znajomych i przyjaciół. No i wpadali do niego koledzy z żonami na wieczorki. Anastazja zapraszała na imieniny i urodziny, a w wąskim gronie najbliższych przyjaciół odwiedzali się nawzajem nawet i bez okazji. Wszyscy lubili przychodzić do Szlagorów, bo mieli duże wygodne mieszkanie w kamienicy przy rynku, skąd wszędzie było blisko, ponadto pani domu świetnie gotowała. O jej gotowanej kaczce krążyły legendy!

↑ Franciszek Szlagor w swoim warsztacie przy pracy, międzywojnie. Ze zbiorów rodziny Szlagorów

To był cały rytuał. Rano, zanim chłopcy poszli do szkoły, a Franciszek do pracy, Anastazja, kobieta niezwykle urody, szła z koszykiem na targ. Długo i starannie wybierała kaczkę. Ważyła ją w dłoniach, dmuchała jej w piórka na brzuszku, żeby zobaczyć czy ma tłuszcz żółty czy biały. Oglądała pazurki, czy świeże. Wreszcie brała najlepszą. Po drodze kupowała jarzyny i wracała do domu. Kiedy tylko Janek i Edek po śniadaniu brali tornistry i szli do szkoły, Anastazja stawiała wielki gar wody, przygotowywała miskę i wiadro, bo kaczkę trzeba było sparzyć i oskubać. Po całym domu roznosił się charakterystyczny zapach mokrych piór. Anastazja doszła do takiej wprawy w skubaniu, że zajmowało jej to zaledwie godzinę i z lupą by szukać dutki zostawionej w skórze. Następnie należało kaczkę wypatroszyć, uważając bardzo na żółć, bo gdyby żółć się rozlała, to całe mięso byłoby do niczego. Przy czym części niejadalne nadawały się do wyrzucenia, a podroby kacze Anastazja myła dokładnie z krwi, czyściła i odkładała na pasztet. A potem wkładała rękę w kaczkę i myła ją pod bieżącą wodą i jeszcze raz upewniała się, że ani jedna dutka nie została w kaczej skórze. Wtedy przychodziła kolej na jarzyny. Anastazja do gotowania kaczkki używała marchewki, selera, korzenia pietruszki, czasem pora, lecz nigdy cebuli ani czosnku. Ziele angielskie i liść laurowy – tak, owoc jałowca – absolutnie nie. Ale już lubczyk i rozmaryn stosowała zamiennie. Zimą dodawała jeden lub dwa goździki, czasem szczyptę cynamonu lub pieprzu cayenne. Latem i wczesną jesienią podawała kaczkę z gruszkami, czasem ze śliwkami, ale to rzadziej. Dodatki nie były najważniejsze. Istotne było, aby kaczką gotowała się wystarczająco długo, by nabrać miękkości, ale nie za długo, bo wówczas traciła smak.

Kiedy goście pytali, jak ona to robi, że jej gotowana kaczką jest tak niezrównana, Anastazja odpowiadała, że to kwestia przeznaczenia.

– Po prostu tej kacce przeznaczone było wam smakować – mówiła i na próżno żony kolegów Franciszka prosiły ją o przepis.

– Trzeba wybrać kaczkę zgodnie z jej przeznaczeniem – słyszeli niezmiennie.

Anastazja i Franciszek pracowali przez cały tydzień. W sobotę Anastazja przygotowywała mężowi i synom ubranie, sprawdzała

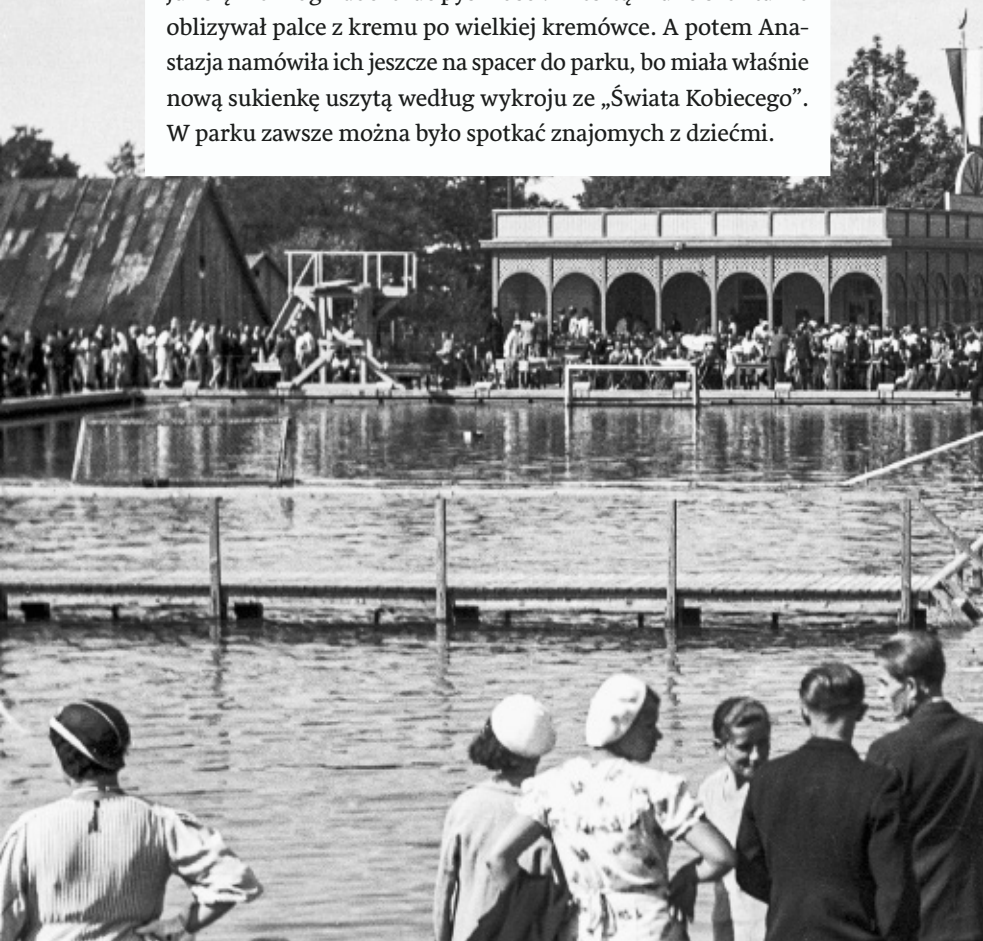
mankiety i guziki, prasowała im spodnie i sobie spódnice. Franciszek czyścił buty. Raz poprosił o pomoc Janka i Edka. Chłopaki gorliwie się za to zabrali. Pracowali w skupieniu ze trzy kwadranse, po czym okazało się, że najdokładniej mieli wypastowane dłonie.

– Jak ja im odczyszczę paznokcie. Wstyd się ludziom w kościele pokazać. A do szkoły to nawet ich nie wpuszczą! – rozpaczła Anastazja, ale jej mąż się tylko śmiał.

– Widać, że się chłopaki rzemiosła uczą od ojca. Ręce mieć brudne od pracy, żaden wstyd.

Anastazja uważała jednak inaczej, bo zniknęła z synami na dłużej w łazience, a kiedy z niej wyszli, mieli palce czerwone od szczotki ryżowej, ale czyste. Bo do kościoła i do szkoły nie wypadało iść z żałobnymi obwódkami.

W nagrodę następnego dnia po sumie Franciszek zabrał ich na ciastka do cukierni pana Frysia. W całym Andrychowie nie było lepszych. Przysiedli więc nieopodal na ławce, bo chłopcy już się nie mogli doczekać pyszności. Zresztą Franciszek także oblizywał palce z kremu po wielkiej kremówce. A potem Anastazja namówiła ich jeszcze na spacer do parku, bo miała właśnie nową sukienkę uszytą według wykroju ze „Świata Kobiecego”. W parku zawsze można było spotkać znajomych z dziećmi.

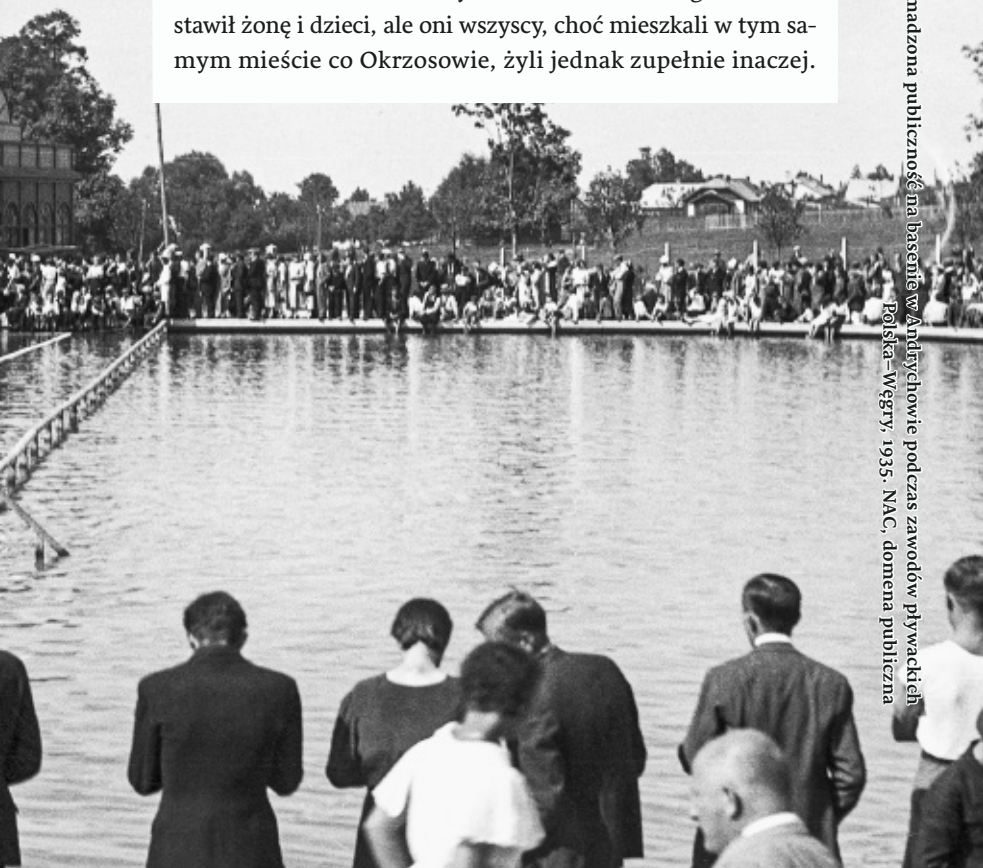


Kiedy była ładna pogoda, państwo Szlagorowie chodzili z synami na basen. Franciszek dobrze pływał, Anastazja, choć także umiała pływać, wołała się opalać na brzegu. Mówiła, że na piaszczystej andrychowskiej plaży czuje się jak nad Bałtykiem i miała rację, bo piasek był przecież przywieziony z Wybrzeża. Dość szybko okazało się natomiast, że Edek ma prawdziwy talent pływacki. Potrafił na jednym oddechu przepłynąć cały basen, był szybszy od niejednego dorosłego mężczyzny. Franciszek postanowił zapisać go do sekcji. Bo w Andrychowie sport stał na wysokim poziomie. Działały sekcje pływacka i piłkarska, ponadto lekkoatletyczna dziewcząt i chłopaków. Edek był najlepszy w klasie z kultury fizycznej i z historii.

– Czy ktoś z was wie, kiedy były rozbiory Polski? – padało pytanie na lekcji i Edek od razu miał dwa palce w górze.

– Tak, w 1772 roku wojska austriackie zajęły Andrychów. Od tej pory aż do odzyskania niepodległości w 1918 byliśmy pod zaborem austriackim. Mój dziadek dostał powołanie do wojska austriackiego i razem ze swoim przyjacielem, Adamem Okrzosem zginął w walkach pod Buczaczem w 1916 roku... – odpowiadał.

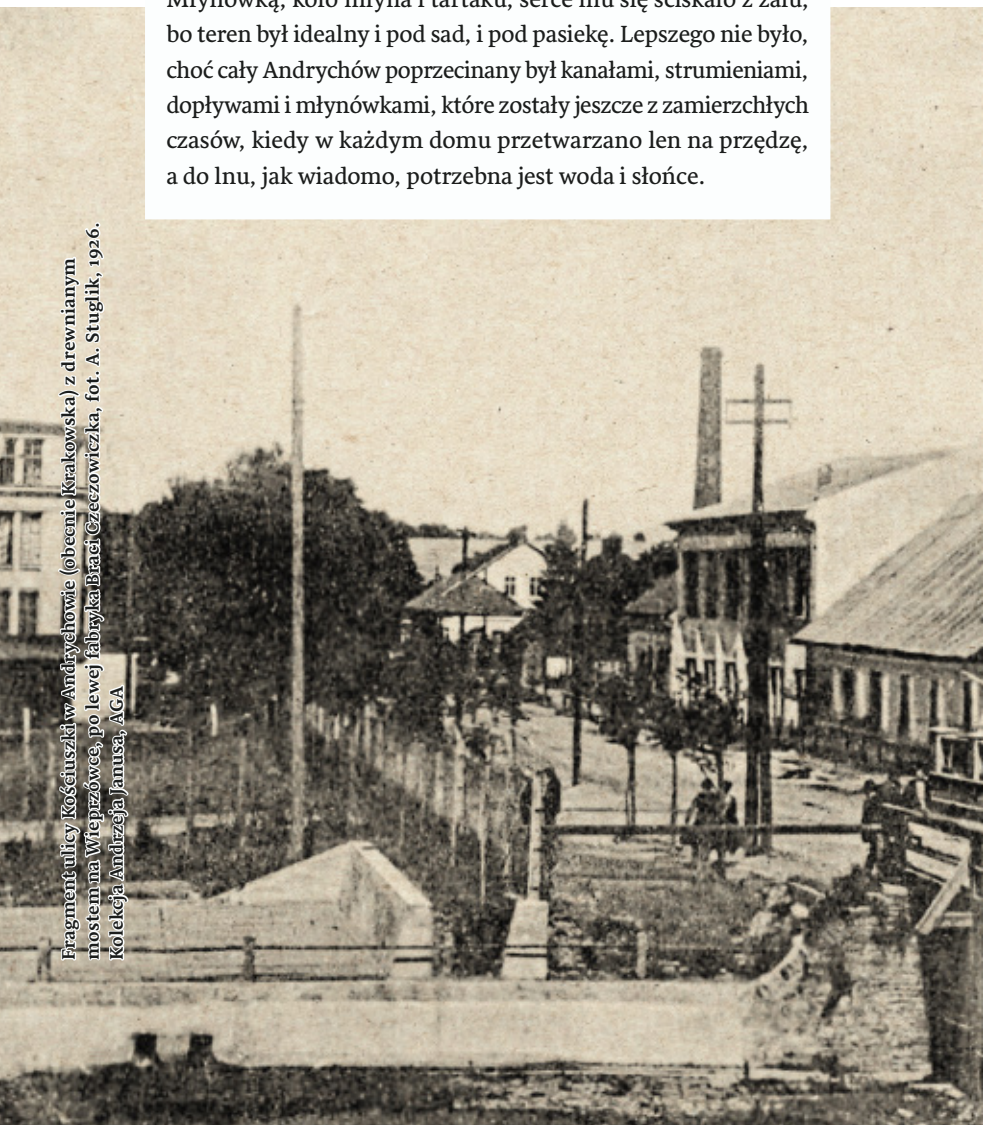
I Adam nie wrócił wtedy z frontu wschodniego. I on zostawił żonę i dzieci, ale oni wszyscy, choć mieszkali w tym samym mieście co Okrzosowie, żyli jednak zupełnie inaczej.



Zgromadzona publiczność na basenie w Andrychowie podczas zawodów pływackich
Polska–Węgry, 1935. NAC, domena publiczna

Syn Adama, Janek, był o cztery lata młodszy od Franciszka. Miał osiem lat, kiedy dowiedział się, że jego ojciec poległ pod Buczaczem. Od najmłodszych lat musiał zajmować się ziemią. Orał, siał, plewił. Pomagał matce, jak mógł. Nie miał czasu na zbytki. Pracowity i sumienny, każdą chwilę wykorzystywał na coś pożytecznego. Kiedy dorósł, zajmował się końmi, strugał koryta, od proboszcza nauczył się szczepić drzewa. Sąsiad pokazał mu, jak podbierać pszczołom miód. Od tej pory Janek Okrzos marzył o własnych ulach. Nawet wybrał sobie dobre miejsce, na łące nad rzeką, ale zaraz się okazało, że to ziemia Mrzygłodów, a Frania właśnie wychodzi za męża za Poldka Kusia i łąka pójdzie pod budowę domu. Ile razy Janek tamtędy przechodził, drogą nad Młynówką, koło młyna i tartaku, serce mu się ścisnęło z żalu, bo teren był idealny i pod sad, i pod pasiekę. Lepszego nie było, choć cały Andrychów poprzecinany był kanałami, strumieniami, dopływami i młynówkami, które zostały jeszcze z zamierzchłych czasów, kiedy w każdym domu przetwarzano len na przędzę, a do lnu, jak wiadomo, potrzebna jest woda i słońce.

Fragm. ulicy Kościuszkowej w Andrychowie (obecnie Krakowska) z drewnianym mostem na Wieprzówce, po lewej fabryka Braci Gzeczowiczka, fot. A. Stuglik, 1926. Kolekcja Andrzeja Janusa, AGA



Franciszka z Leopoldem wmurowali kamień i w dwa lata, kiedy im się urodził syn, Emilian, przykryli dach. Zadbali o to, żeby nie zaczynać budowy w czerwcu, bo przecież wiadomo, że dom czerwcowy zjedzą czerwie. I choć ich dom był nowoczesny, murowany, z przechodnimi pokojami, jadalnią i gabinetem, lepiej z tradycją nie zadzierać. Na górze urządzono wygodne sypialnie. Kiedy elektryfikowano Andrychów, Kusiowie też zgłosili swój dom. Ale i tak czasem korzystali z karbidówek, bo przerwy w dostawie prądu w latach trzydziestych zdarzały się dość często. Całe wyposażenie domu Frania wniosła w posagu. Meble, obrazy, srebrne sztuce i porcelanowe talerze. Nawet te karbidówki i wagę szalkową, szaflik, żelazko i pianino. I książki, mnóstwo książek, bo jej mama darzyła słowo drukowane wielkim szacunkiem i nigdy nie zabraniała córce czytać, wręcz przeciwnie, sama czytała dużo i chętnie, zwłaszcza zimą, kiedy było mniej obowiązków w gospodarstwie, albo w niedziele, kiedy grzech było pracować. Franciszka zatem od matki nauczyła się kaligrafii i zamiłowania do książek, ale prawdę powiedziawszy,



miała mniej od niej czasu na czytanie. Trzeba było posprzątać dom, a w dużym domu jest więcej mycia okien i szorowania podłóg. Wyplewić ogród i to nie tylko warzywny, ale i kwiatowy. Obrobić zwierzęta, nakarmić, wydoić, kury zamknąć na noc, rano wypuścić. Zebrać warzywa i owoce na czas, porobić przetwory na zimę, zawekować słoiki, kompotów nagotować dla Emilianka. Przy świnio bicie zawsze schodziły dwa dni roboty z szynkami na Boże Narodzenie, kielbasami, z boczkami wędzonym na Wielkanoc. Lata mijały, roboty nie ubywało. Leopold pracował na polu i w tartaku i choć miał pracowników, przecież jak sam wszystkiego nie dopilnował, to było niezrobione. Nie mieli czasu na rozrywki.

Pewnego razu przyszedł Emilian ze szkoły, zdjął tornister i usiadł przy matce na taborecie.

– Czy ty, mamo, jadłaś lody? – zapytał.

Franciszka zamyśliła się głęboko, bo znała smak lodów, ale nie pamiętała, kiedy ostatnio je jadła.

– No, jadłam, a czemu pytasz?

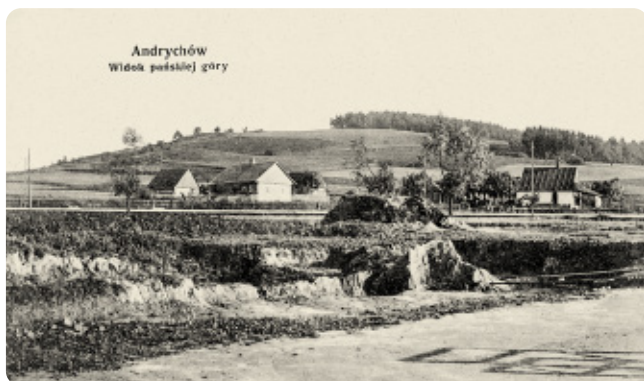
– Bo może moglibyśmy pójść kiedyś z tatą do prawdziwej cukierni, jak dzieci z Andrychowa... – powiedział nieśmiało.

– Dobrze, pójdziemy – zgodziła się Franciszka, choć doprawdy prośba syna wydała jej się dość dziwna. Kiedy mieliby się wybrać na te lody i w co miałyby się na takie wyjście ubrać? I co z robotą? Nawet w niedzielę trzeba obiad ugotować, prace na następny tydzień poplanować, a to nigdy nie wiadomo, czy pogoda będzie dobra. Inwentarza też się głodnego nie zostawi. Ale odmówić synkowi? No przecież stać ich było na taką przyjemność.

Tak się jednak złożyło, że nie poszli na te lody ani tego lata, ani następnego. Dopiero w sierpniu 1939 roku Leopold powiedział, że może to być jedyna okazja w życiu i zabrał żonę i syna do Andrychowa na lody. Poszli pieszo, on w lnianej koszuli, ona w haftowanej bluzce. Chłopcu założyła kościelne spodnie.

Kupili wielkie porcje lodów śmietanowych i wyszli z cukierni. Leopold zawsze był szybki i do jedzenia, i do pracy, więc spałaszował swoje lody w okamgnieniu, a że dzień był duszny, w budce obok zamówił sobie kufel zimnego piwa. Emilian długo męczył się ze swoją porcją, aż mu się zaczęły topić i kapać na ubranie.

Franciszka próbowała wycierać słodką maż chustką do nosa, ale było tylko gorzej. Na domiar złego nagle nad andrychowskim rynkiem zebrały się ciemne chmury, niebo rozdarła błyskawica, z zachodu przetoczył się grzmot. Chwilę później lunął rzęsy deszcz. Zanim dotarli do domu, byli cali mokrzy. Franciszka i Emilian od razu weszli do środka, żeby się osuszyć i przebrać, Leopold natychmiast wystawił łopatę chlebową za próg, bo wiadomo, że łopata chlebowa w czasie burzy odgania grad i chroni uprawy. Potem musiał zrobić obrządki, żeby deszcz nie powyczyniał większych szkód w obejściu. Wrócił wieczorem z dreszczami. Przez całą noc wył pies u sąsiadów, a Franciszka miała złe przecucia. Rano Połdek obudził się z gorączką. Kilka dni później lekarz stwierdził zapalenie płuc. Ludzie w Andrychowie nie mówili o niczym innym, tylko o wojnie, a Franciszka mówiła różaniec przy łóżku Leopolda.



↑ Rynek w Andrychowie, pocztówka, 1908–1914. Polona, domena publiczna

↑ Widok na Pańską Górę, u której stóp leży Andrychów, 1909. Kolekcja Andrzeja Janusa, AGA, domena publiczna



Na nic się jednak zdały jej modlitwy, wkrótce zmarł. Franciszka została wdową i nie był to wcale koniec nieszczęść, jakie ją spotkały. Niedługo potem przyszli Niemcy i wyrzucili kobietę z dzieckiem z domu. Niemiecki bauer z rodziną zajął pokoje, jadał na jej porcelanie, używał jej sreber, ważył jej wagą. Na ścianie powiesił portret Hitlera.

Niemcy zajęli tartak, zaplombowali młyn. Franciszka wróciła do matki.

Nie miała już domu ani majątku, ale żyła i miała dla kogo żyć. Powtarzała, że w życiu najważniejsza jest wiara, rodzina i praca.

– Póki mam pracę, nie zginę. Umieć upiec chleb, a pieca mi każdy użyć. Głodna nie będę. Umieć tkać i krosna się znajdą, goła nie będę chodziła. Synka mam, więc mam dla kogo żyć. Mam też wiarę w opaczność Boską i ta wiara mnie chroni.

I rzeczywiście, Franciszka nie poddawała się przeciwnościom. Dumnie nosiła głowę i pracowała dwa razy tyle co przed śmiercią Leopolda. Za siebie i za męża.

Jakoś tak rok potem spotkała Janka Okrzosa. Pracował przymusowo u Niemców jako cieśla, wieczorami grywał na akordeonie u kolegów. Ona wracała od sąsiadki, niosła marchew i buraki. Janek przerzucił akordeon przez plecy i pomógł jej nieść torbę. Nadłożył drogi, żeby ją odprowadzić.

Za kilka dni znowu się spotkali.

↑ Franciszka Okrzosa, międzywojnie. Ze zbiorów rodziny Szlagorów



W niedzielę czekał na nią po mszy oparty o lipę.

– Nie łaż za mną tak – upomniała go Franciszka.

– Dlaczego nie?

– Bo ludzie zaczną gadać...

– Niech gadają.

– O tobie niech sobie gadają, tobie nie zaszkodzą, ale o mnie nie chcę, żeby gadali. I tak... – zaczęła, ale przerwała.

– Co i tak? – dopytywał Janek. Franciszka się zaczerwieniła.

– Nic. Jakby ci na mojej opinii zależało, to byś do domu przyszedł. A jak ci nie zależy, to trzymaj się ode mnie z daleka.

– Kto powiedział, że mi nie zależy?

– Trzeci raz na mnie czekasz. Czego chcesz?

– Przed kościołem czekam. Czego mogę chcieć? – Janek spojrział jej w oczy. – Żebyś była moją ślubną. Na zapowiedzi chcę dać – powiedział Janek odważnie, bo przecież dziesięć lat temu stchórzył i nie mógł sobie tego darować.

Ale Franciszka nie odpowiedziała.

Następnego dnia stała jednak pod tym samym drzewem.

– Odprowadź mnie do domu – powiedziała. – Matka zaprasza na herbatę – dodała.

I tak od słowa do słowa, mimo że trwała wojna i nikt nie wiedział, kiedy się skończy, pobrali się i zamieszkali razem. Był rok 1942. A potem na świat przyszli Eugeniusz, Janinka i Aleksandra. Bardzo udane dzieci.

W czterdziestym piątym wreszcie bauer z domu przy Podgórskiej się wyniósł i Franciszka z mężem i dziećmi mogła wrócić do siebie. Poprosiła swojego szwagra, żeby jej pomógł przewieźć rzeczy. Pomógł, poprzemienił, co tam było i pojechał. Ale ledwie przekroczyli próg domu i postawili tobołki na podłodze, w drzwiach stanęli radzieccy żołnierze. Rozejrzeli się, zobaczyli spakowane rzeczy, obraz Hitlera nadal wiszący na ścianie i o nic już więcej nie pytali. Postanowili ich rozstrzelać na miejscu.

Nie pomogły tłumaczenia i zapewnienia, że to pomyłka. Franciszka i Janek nie mówili po rosyjsku, radzieccy żołnierze nie rozumieli po polsku. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Żołnierze wyprowadzili Okrzosów przed dom, kiedy zjawił się szwagier Franciszki z pościelą zawiązaną w tobołek, który nie chcąc się zawieruszyć, więc szwagier wrócił, żeby go oddać.

– Szto wy djelajetie, soldaty? Eto Poljaki! Maja sjemia – powiedział śpiwnie po rosyjsku, bo wcześniej prowadził interesy z Rosją.

Radzieccy żołdaci, gdy tylko usłyszeli swoją ojczystą mowę, natychmiast opuścili wycelowane karabiny. Sytuacja została wyjaśniona, a życie Franciszki i Janka przypieczętowane winem wyniesionym z ich piwnicy. Niemiecki bauer nie tylko przed ucieczką wszystkiego nie wypił, to jeszcze przez tych kilka lat wojny zrobił swoje, nie tak dobre jak to przedwojenne Franciszki, ale też nadawało się do picia.



Janek obiecał Franciszce, że sprowadzi dla niej najlepsze szczepki winogron i jak powiedział, tak zrobił. Zasadził je przy stodole od południa. A przy okazji dostał jeszcze jabłunki i grusze i je też zasadził.

– Niech rosną, zanim Janka wyjdzie za mąż, będzie z nich sad – rzekł.

Lata mijały, Janek od jednego człowieka z Przydonicy kupił siwego konia. Od tej pory poprzysiął, że będzie miał tylko siwe konie i rzeczywiście, wszyscy w Andrychowie wiedzieli, że biały koń jest Janka Okrzosa. Żaden następny nie mógł się jednak równać z tym Siwkiem od Tatara, który znał się na koniach jak nikt inny.

Tymczasem przyszedł nowy ksiądz do Andrychowa i ogłosił, że dziewczynki w oktawę Bożego Ciała mają sypać kwiatki, chłopcy dzwonić dzwonkami, a silni mężczyźni nieść nad księdzem baldachim. Co było robić, trzeba było uszyć Jance spódnice w kwiaty, wyhaftować gorsecik, przypiąć wstążki, dać koszyk pełen płatków i nauczyć ją dygać w odpowiednim momencie. Janka była chyba najmłodsza w procesji i wszyscy się nią zachwycali. I słusznie, bo miała tyle wdzięku i radości, kiedy sypała kwiatki Panu Jezuskowi, że nie było piękniejszego widoku.

Janinka od Okrzosów rosła zdrowo i chętnie pomagała matce w domu i w ogrodzie. Miała rękę do kwiatów i warzyw, a serce dla zwierząt. Karmiła je i głaskała, czyściła świnkom szczecinę, smarowała łojem wymiona krowie, czesała końskie grzywy. Pies łąził za nią krok w krok, kot na jej widok mruczał, bo wiedział, że zaraz dostanie wędzonkę. Kiedy zachorowała im krowa i Janek już chciał ją oddać rzeźnikowi, córka uprosiła go, żeby jej pozwolił z sąsiadkami iść do Kęt, do klasztoru ojców Reformatów, bo tam mają takie zioła, które leczą krowie choroby. Janek niczego nie potrafił odmówić córce, więc się zgodził, a ona poszła i wróciła z ziołami i z tajnym przepisem, jak je należy warzyć i kiedy podawać. Za siedem dni krowa była zdrowa, a z mleka od niej można było śmietanę zbierać łyżkami.

– Franciszko, nie ogonisz ty się od chłopaków, jak zaczną przychodzić do twojej córki! – żartowała sąsiadka na widok Janinki w ogrodzie, a Franciszka tylko kiwała głową i mówiła:

– Co komu przeznaczone, to i będzie. Najważniejszy Bóg, rodzina i praca. Jak to jest, wszystko jest.

Przyznawała jej sąsiadka rację, bo Franciszka Okrzosowa była mądrą kobietą i cieszyła się poważaniem. U niej w domu zawsze był porządek, okna umyte, firanki powieszzone, obrusy wykrochmalone. Kurze starte, pajęczyny omiecione, podłogi umyte. Kiedy Franciszka zapraszała do siebie w gości, nakrywała do stołu posagową zastawę, wyciągała ciasto, robiła herbatę. Zawsze miała sok malinowy albo wiśniowy, cukier, konfitury. Świeże kwiaty stały w wazonie na stole. Widać było, że dom trzyma żelazną, ale kobiecą ręką. Ponadto pięknie tkła! Nic w tym nie było dziwnego, bo Andrychów od ponad stu lat był tkacką potęgą i niemal w każdym domu były krosna. A jednak kiedy sąsiadki chciały wprowadzić nowy splot albo im się osnowa splątała, przychodziły po radę do Franciszki. Ona to umiała jeszcze od swojej matki, która słynęła ze staranności i miłości do wiedzy. I to starała się Franciszka przekazać swoim synom i córkom. Janka od początku dobrze się uczyła i było wiadomo, że po maturze pójdzie na studia. Franciszce się to podobało, Janek kręcił głową.

– Lepiej, żeby najpierw wyszła za mąż, na panienkę w takim mieście czyhają różne niebezpieczeństwa – mówił.

Janinka miała powodzenie u chłopaków, podobała się wielu, więc wybrała sobie jednego, który obiecał, że pozwoli jej iść do Krakowa na studia. Na spotkania z nim chodziła z młodszą siostrą albo z bratem, aż w końcu narzeczony zaprosił ją na prawdziwy bal sylwestrowy. Mama i tato się zgodzili, bo przecież Janinka była już z tym chłopakiem po słowie, a poza tym trudno młodemu bronić zabawy.

– Co komu przeznaczone, to i będzie. Niech się wytańczą przed ślubem! – powiedziała Franciszka.

Janina uszyła piękną sukienkę, dobrała do niej biżuterię, włożyła buty na obcasie, zrobiła sobie modną fryzurę i makijaż i tak poszła na ten bal.

Wodzirej posadził ich przy stoliku. Na talerzach królowały śledzie, w półmiskach stała sałatka jarzynowa, na tacach rozłożone eleganckie koreczki. Wysokie kieliszki czekały na północ. Orkiestra grała największe przeboje roku 1964, a przy stoliku

obok siedział Edek Szlagor z dziewczyną. I tak się jakoś stało, że kiedy narzeczoną Janinki zniknął z kolegami na zewnątrz, a dziewczyna Edka wyszła przypudrować nos, Edek poprosił Janinę do tańca, a potem odprowadził ją do stolika, ale rozmawiało im się tak dobrze, że nie zauważyli, że narzeczoną wrócił lekko pijany, a dziewczyna trochę obrażona. Edek Szlagor mówił o studiach prawniczych, rozmawiali o książkach i o historii. Ustalili, że musieli się miąć w klubie sportowym. Edek należał do sekcji pływackiej, Janka chodziła na lekkoatletykę. Miała sukcesy w rzucie dyskiem. Oboje pamiętali fotografa Albina Byrskiego, który robił zdjęcia na zawodach. Przed wojną miał zakład przy rynku, nieopodal warsztatu szewskiego, stąd Edek doskonale go kojarzył. Natomiast Janinka widziała go z aparatem na igrzyskach lekkoatletycznych. Na odwrocie odbitek stawiał pieczętkę: Fotografia sportowa. Albin Byrski. Andrychów. Jedną nawet dał Jance.

– Widziałem te fotografie w antykwariacie – wspomniął Edek i zwierzył jej się, że uwielbia stare książki i antyki, a Janka się roześmiała.

– Taki grzech to nie grzech – powiedziała i Edek nagle poczuł się lekko i szczęśliwie.





Przetańczyli i przegadali całą noc. Nad ranem wracali roześmiani przez Andrychów otulony białym, skrzącym się śniegiem. Był mróz, ale im było gorąco.

W czerwcu '65 odbyło się ich wesele. Skończyli studia i wrócili do Andrychowa. Urodziło im się czworo dzieci. Pewnego dnia Anastazja, mama Edwarda, zaprosiła ich na gotowaną kaczkę i Janka była jedyną osobą, której zdradziła swoje kulinarne sekrety.

Czasem w niedzielę zaglądali też do domu Okrzosów na obiad do mamy Janki. Janka zakładała na te wizyty nowy łańcuszek albo złoty pierścionek.

– Dostałam od męża na przeprosiny – wyjaśniała matce, a wtedy Franciszka mrugała do niej porozumiewawczo.

– Znowu był w antykwariacie? Zobaczysz, on wam kiedyś z domu zrobi muzeum – szeptała, krojąc ciasto.

– Niewykluczone – śmiała się Janka, zalewając herbatę w porcelanowym dzbanku. – Niewykluczone. Od przeznaczenia nie uciekniesz – mówiła i nawet nie wiedziała, że powtarza słowa ukraińskiego starca, który dawno temu daleko od Andrychowa poczęstował dwóch żołnierzy herbatą.

Edward Szlagor, założyciel andrychowskiego muzeum, lata 90. XX w. Ze zbiorów rodziny Szlagorów



Kościół pw. Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy; widok od północy; fot. R. Szkaradek, 1941. IS PAN, domena publiczna





O POZIOMKACH I MIŁOŚCI

Kościół pw. Matki Bożej
Różańcowej w Przydonicy



Kiedy Jadzia była mała, babcia Regina zabierała ją w czerwcu na poziomki. Każde takie wyjście z babcią było dla Jadzi jak święto. Może dlatego, że budziła wnuczkę o świcie, kiedy tata jeszcze spał? A może dlatego, że babcia zakładała na głowę czerwoną chustkę haftowaną w lilie, tę, którą brała do kościoła? W każdą niedzielę chodziła z Jadzią na sumę w tej chustce i wszyscy ludzie z Przydonicy się jej kłaniali. A może dziewczynka tak to lubiła, bo było coś podniosłego w zbieraniu poziomek na polanie ukrytej w lesie, którą znały tylko babcia Regina i Jadzia? Nikt tam nigdy nie zaglądał, nikt nie zbierał poziomek ani żadnych ziół. Raz Jadzia widziała małego zająca. A poza tym – nikogo. Czyżby ludzie zapomnieli o tym miejscu, a tylko babcia Regina pamiętała?

↑ Gryka zwyczajna (*Fagopyrum esculentum*), Prof. Dr. Otto Wilhelm Thomé *Flora von Deutschland, Österreich und der Schweiz*, Gera 1885. Wikimedia Commons, domena publiczna

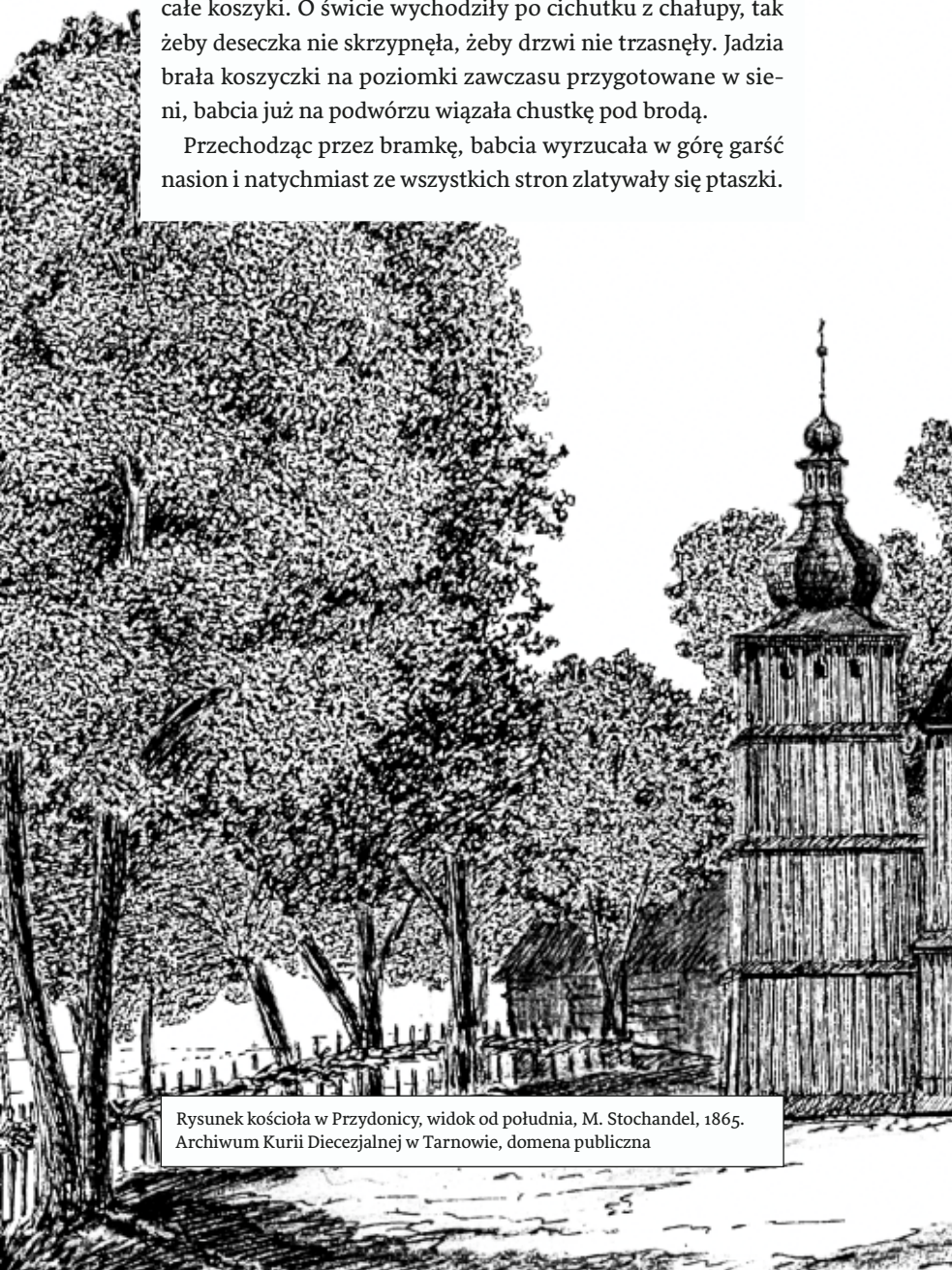
Jadzia bardzo kochała babcię. Swojej mamy nie знаła, bo ta umarła przy porodzie, a tato rzadko bywał w domu, od wiosny do jesieni pracował końmi w polu u siebie i u sąsiadów. Miał dwa siwe konie, piękne, pełnej krwi. Mówił czasem, że to potomkowie koni królewskich. Kiedy Jan III Sobieski wracał w glorii i chwale spod Wiednia, przyprowadził z sobą Tatarów, którzy mieli wspaniałe konie. Tak, trzeba powiedzieć, że znali się na koniach i umieli z nimi postępować. Po tej wizycie króla w Przydonicy została kapliczka pod wyniosłą lipą, cudowny obraz Matki Boskiej, wotum za zwycięstwo oraz konie, nieznane tatarskie konie. Tato czasem w długie zimowe wieczory opowiadał, jakie zwyczaje mieli ci Tatarzy wtedy, wiele wieków temu, kiedy przyjechali tu z królem. I że przywieźli pod siodłami grykę, czyli tatarkę, która nadzwyczajnie się przyjęła na tych biednych, nieurodzajnych ziemiach. Zawsze, gdy babcia gotowała kaszę gryczaną dla zwierząt, tato mówił, że to „nasza, tatarska”. Babcia kiwała głową, bo wiedziała, że ojciec Jadzi miał dalekie korzenie tatarskie. Stąd u niego takie zamiłowanie do koni i wyjątkowa uroda.

Ożenił się z jej córką i wyglądało na to, że będą szczęśliwi. On roboty miał dużo, a i ona była pracowita. Tak jak matka zbierała owoce oraz zioła i chodziła potem z nimi do Sącza na targ. Czekali na pierwsze dziecko. Czas rozwiązania przyszedł w noc świętojańską, kiedy wszyscy się bawili, chłopaki skakali przez ogień, dziewczyny plotły wianki i rzucały je do Przydoniczanki, a starzy pili gorzałkę. No i akuszerka nie zdążyła, a był to poród skomplikowany, matka zmarła. Dziewczynką zajęła się babcia Regina. Karmiła ją, nosiła na rękach, opowiadała historie. Dziewczynka miała swoją ulubioną, o Jadwidze, siostrzenicy św. Kingi, wdowie po Władysławie Łokietku. Babcia Regina opowiadała, że Przydonica należała wtedy do kmiecia Getka, ale Jadwiga miała na nią baczenie i dbała, żeby we wsi dobrze się działo. Jadzia myślała, że to dlatego, że królowa wiedziała, że kiedyś wieś będzie należała do Barbary wnuczki wielkiego rycerza Zawiszy Czarnego, który był właścicielem wielu ziem w tej okolicy. Wyobrażała sobie, że to ona jest tą Jadwigą, siostrzenicą świętej Kingi, która zgubiła pierścień na ziemi węgierskiej, a znalazła w Bochni. Małeńka Jadzia lubiła słuchać tych babcinych historii,

jedząc kaszę orkiszową na słodko. W lecie babcia do tej kaszki dodawała poziomki albo maliny, jesienią i zimą – suszone zioła i skwarki.

Minęło kilka lat i Jadzia zaczęła chodzić z babcią do lasu po owoce i na łąki po zioła. Najbardziej jednak lubiła zbierać poziomki. Prawdę powiedziawszy, w okolicy poziomek było tyle, co na lekarstwo, a babcia Regina i Jadzia przynosiły z polany całe koszyki. O świcie wychodziły po cichutku z chałupy, tak żeby deseczka nie skrzypnęła, żeby drzwi nie trzasnęły. Jadzia brała koszyczki na poziomki zawnazs przygotowane w sieni, babcia już na podwórzu wiązała chustkę pod brodą.

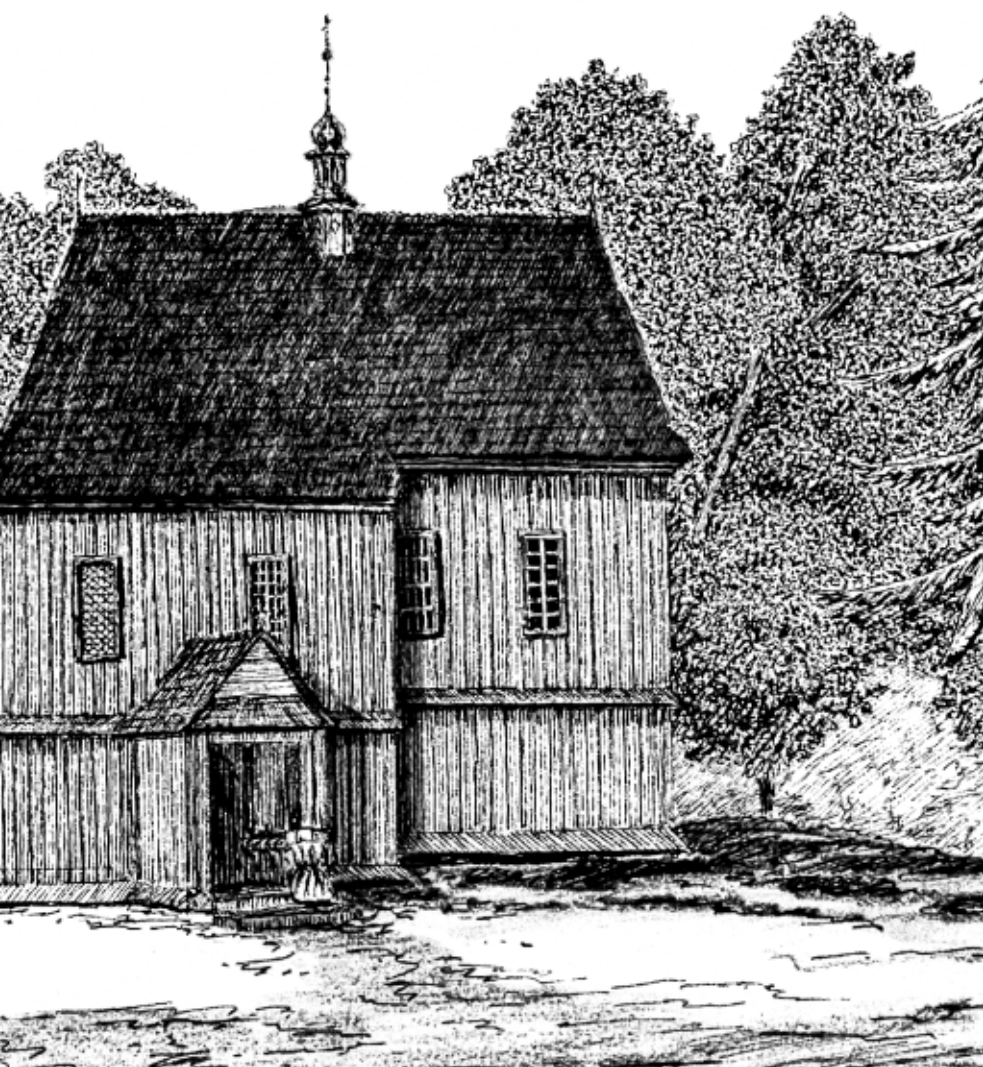
Przechodząc przez bramkę, babcia wyrzucała w górę garść nasion i natychmiast ze wszystkich stron zlatywały się ptaszki.



Rysunek kościoła w Przydonicy, widok od południa, M. Stochandel, 1865.
Archiwum Kurii Diecezjalnej w Tarnowie, domena publiczna

Ludzie nazywali tę część wsi Sikornikiem, ale trudno powiedzieć, czy to były akurat sikorki. Chyba nie. W każdym razie ptaszki jadły ziarna, babcia i wnuczka zaś w milczeniu schodziły do gościńca i dopiero za zakrętem zaczynały rozmawiać. A i to półgłosem, cichutko, jakby w obawie, że je ktoś usłyszy. Jadzia nigdy nie zapytała babci Reginy, dlaczego utrzymywała to chodzenie na polankę w takiej tajemnicy.

Urodziny Jadzi były zawsze pierwszym dniem zbierania poziomek. Tego dnia babcia dawała jej jakiś prezent: czerwoną wstążkę do włosów, plecionkę z barwionych na czerwono końskich włosów albo wianuszek z maków zbieranych po drodze, a wieczorem robiła podpłomyki ze słodkim serem, borówkami i poziomkami. Jadzia cały rok czekała na te podpłomyki.



W dniu jej siódmych urodzin wyszły z domu tuż przed wschodem słońca, szły jak zwykle piaszczystym gościńcem, potem skręciły w wiadomym miejscu pod górę w stronę lasu, po kamieniach przeszły na drugą stronę Przydoniczanki, która tutaj była dość płytka. Następnie przedarły się przez gęste zarośla, ominęły wysokie pokrzywy i w momencie, kiedy słońce wyjrzało zza Działu, stanęły na polanie. Złote światło rozlało się po pachnącej łące i opromieniło jasną postać dziewczynki, a jej owinięte wokół głowy warkocze lśniły niczym korona z najszlachetniejszego złota. Wtedy babcia zdjęła z głowy chustkę haftowaną w lilie i zarzuciła ją na ramiona Jadzi.

– Dla ciebie, na urodziny – powiedziała.

Wnuczka nawet nie śmiała marzyć o takim prezencie. Kobiety we wsi nosiły inne chusty, haftowane w różę, przetykane złotą nitką, z frędzlami. Ale takiej czerwonej w lilie nie miał nikt. I teraz Jadzia dostała ją na urodziny.

– Pilnuj tej polanki i poziomek, i wszystkiego, co na niej rośnie, jak oka w głowie, bo to święte miejsce – dodała babcia Regina, a kiedy w południe zmęczone wracały do domu, opowiedziała wnuczce historię tak starą jak sama Przydonica albo i starszą.

Dawno, dawno temu, tu, gdzie teraz jest wieś, rósł dziki, gęsty las. Ludzie nie mieli gdzie mieszkać, więc ścinali drzewa i tak, piędź po piędzi, wyrywali lasowi ziemię, karczowali korzenie, a w ich miejsce budowali niskie chaty.

– Trudny teren sobie wybrali do życia, lecz widocznie nie mieli innego – powiedziała babcia i westchnęła.

Zbierali, co się tylko nadawało do jedzenia, ale głód i tak zaglądał im w oczy każdej zimy i każdej wiosny. Biedne to były tereny i ludzie tu byli biedni. Była wśród nich kobieta, potomkini słowiańskiej królowej, która sprowadziła ludzi w te góry. Ludzie mówili o tej kobiecie Jadwiga, od babki dostała dar rozpoznawania tego, co trujące, i tego, co wzmacniające.

– To tak jak ja! – wykrzyknęła Jadzia. – I jak siostrzenica świętej Kingi, też Jadwiga.

Babcia tylko skłoniła głowę i jakby nigdy nic mówiła dalej.

– Babka tej Jadwigi, o której ci teraz opowiadam, jadłem zastruwała groty strzał i tak podobno broniła swoich ludzi przed

najazdem wrogów. Jej wnuczka też знаła się na tym, co jadalne i co niejadalne, ale swoim ludziom pokazywała raczej, co zbierać i jak przechowywać na zimę rośliny, owoce i mięso. Suszyła, marynowała, kisiła. Uczyla ludzi, jak przetrwać. Jeśli używała jadu, to do leczenia ran.

Babcia Regina i Jadzia wyszły już spomiędzy drzew i schodziły w dół.

– O, brała na przykład wodę z Przydoniczanki – babcia pokazała na potok, który płynął nieopodal. – Dodawała pokrzyw, krwawnika, korzeni i ziół, wrzucała do garnka, gotowała i kazała im to jeść. Podobno chorzy po takiej zupie zdrowieli, słabli stawali się silni, a głupi – mądrzy.

Babcia Regina zatrzymała się na brzegu.

– Ale w to ostatnie nie wierzę – powiedziała i pokręciła głową.

Jadzia zaśmiała się cicho.

– Jednego roku mróz ścisnął wcześniej niż zwykle i trzymał długo. Ludziom, którzy nie zdążyli zrobić zapasów, szybko skończyło się jedzenie. Odrapywali korę z drzew i spod śniegu wygrzebywali korzonki, ale wiadomo było, że jeżeli nie zdarzy się cud, to do wiosny nikt się nie ostanie, wszyscy umrą. – Babcia umilkła.

– I co było dalej? – zapytała Jadzia, pomagając jej przejść po kamieniach przez Przydoniczankę.

Na drugim brzegu babcia przyklękła, zanurzyła splecione dłonie, po czym podniosła je do ust i napiła się dobrej, czystej wody. Dziewczynka zrobiła to samo.

– No co było, źle było – powiedziała babcia. – Przychodzili ludzie do tej kobiety, matki z dziećmi, mężczyźni, starcy i błagali o jedzenie. Tak jakby ona ich mogła uratować, a co ona mogła, skoro nie było z czego ugotować? Patrzyła na tych swoich ludzi i już nawet nie miała łez, żeby płakać nad ich niedolą.

Pewnej nocy, a była to najdłuższa noc w roku, wyszła z chaty, przekroczyła zamarzniętą wodę i zagłębiła się w las. Szła i szła. Między wysokimi sosnami raz po raz migało gwiazdami granatowe niebo. Aż wyszła na polanę. Stanęła na środku i zaczęła błagać Boga o ratunek dla ludzi, ale niebo było za wysoko. Więc na koniec, kiedy nie było już nadziei, zacisnęła powieki i zaczęła płakać, a każda jej łza była tak gorąca, że roztopiała

zmrożoną ziemię i zaraz poczęły kielkować rośliny, wzeszły poziomki, wypuściły listki, cała polana usłana była białymi kwiatkami, które opadły i na ich miejsce pojawiły się małe zielone owoce. Zanim kobieta otworzyła oczy, zdążyły urosnąć i dojrzeć.

– Poziomki? – zapytała Jadzia ciekawie.

– W samym środku mroźnej zimy – potwierdziła babcia Regina.

– Ojej! I co? Co było dalej? – Jadzia aż podskakiwała z ciekawości.



↑ Poziomka leśna (*Fragaria Vesca*), Prof. Dr. Otto Wilhelm Thomé *Flora von Deutschland, Österreich und der Schweiz*, Gera 1885. Wikimedia Commons, domena publiczna

– Nie podskakuj – skarciła ją babcia – bo się z poziomek zrobi marmolada.

Wyszły już na piaszczystą drogę wiodącą do Sikornika, gdzie stał ich dom.

– Co było dalej? Od tej pory Jadwiga codziennie chodziła na polanę i przynosiła stamtąd jedzenie. Do końca zimy polana dawała ludziom wszystko, czego potrzebowali.

– I przeżyli?

– Przeżyli. Warunek jednak był taki, że polana ma pozostać taka, jak była. A tego, co się obiecało w zamian za cud, trzeba dotrzymać. I dopóki ludzie o tym pamiętali, dopóty w Przydonicy panowało szczęście – zakończyła babcia. – No, to jesteśmy w domu. Przesyp, Jadziu, poziomki do misy i przykryj ściereczką. Jutro pójdziemy do miasta na targ. Udał nam się zbiór na twoje urodziny.

I tak mijały kolejne lata, kolejne czerwce i lipce.

Pewnego roku lato było wyjątkowo gorące. Poziomki dojrzewały szybko, ale były małe i niezbyt soczyste. Jadzi nie zawsze chciało się iść z babcią na polanę. W zamian za to chętnie chodziła do miasta na targ, lubiła patrzeć na ludzi, pouśmiewać się do chłopaków, którzy przychodzili do niej niby kupować owoce, a tak naprawdę przystawali koło koszyków z poziomkami zwabieni wyjątkową urodą dziewczyny o jasnych włosach, w czerwonej chustce haftowanej w lilie.

Tymczasem babcia Regina powoli traciła siły. Coraz częściej narzekała, że się zestarzała i niedługo umrze. Pod górę w stronę lasu szła wolniej, musiała się kilka razy zatrzymać, żeby złapać oddech i otrzeć pot z czoła, choć słońce jeszcze nie było wysoko, jeszcze nie dogrzewało. Na polanie siadała pod sosną i kazała Jadzi samej zbierać poziomki. Dawniej robiły to na wyścigi i babcia naprawdę starała się wygrać. Czasem zdarzało się, że wnuczka była szybsza od niej. Wtedy babcia mówiła, że to tylko dlatego, że Jadzia ma mniejsze paluszki i łatwiej jej łapać poziomki. A innym razem znowu, że to dlatego, że Jadzia jest mała, bliżej ziemi, i nie musi się tak głęboko schylać. Albo że poziomki lubią Jadzię, bo Jadzia to przecież Jagódka, a poziomki też jagódki, więc ciągnie swój do swego. Śmiały się wtedy z tego obie.



Tego lata babci Reginie wiek szczególnie dawał się we znaki. Męczyła się dużo szybciej niż dawniej i jeszcze częściej mówiła o śmierci.

W piątek po Bożym Ciele babcia nie wstała z łóżka.

– Idź sama na polankę – powiedziała do Jadzi. – Musisz zebrać poziomki, żeby jutro je sprzedać w mieście. W sobotę najlepszy utarg.

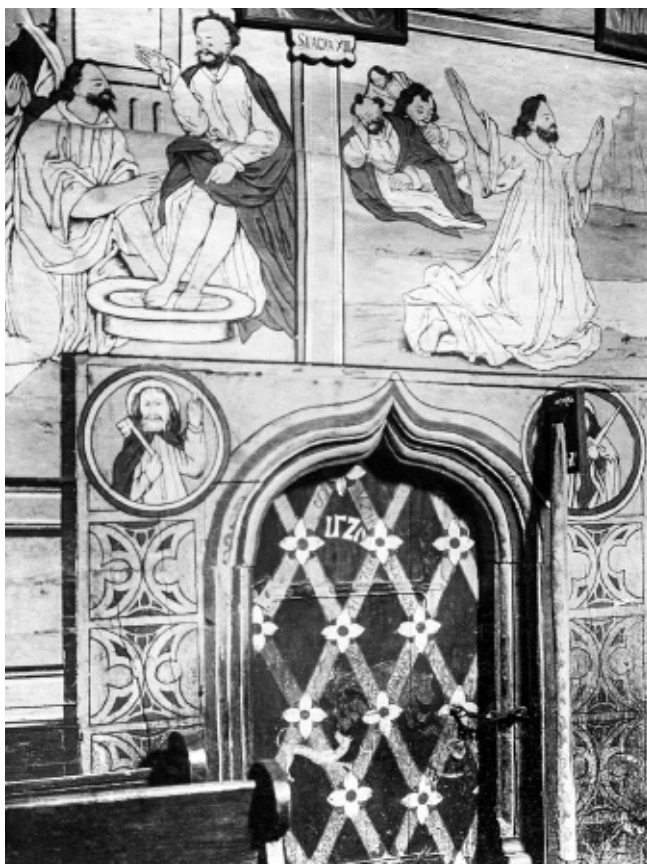
Jadzia zarzuciła na ramiona chustkę i ruszyła na polankę. Zebrała dwa kosze poziomek, ale wracając, nie skręciła do domu, tylko przeszła na drugą stronę drogi, a potem do kościoła pomodlić się za babcię.

↑ Obraz Matki Boskiej Apokaliptycznej, środkowa tablica gotyckiego tryptyku w przydonickim kościele, fot. A. Bochnak, 1933. IHS UJ, domena publiczna
→ Portal do zakrystii, na drzwiach namalowana data powstania kościoła – 1527, powyżej malowidła, ok. 1925. IHS UJ, domena publiczna

Weszła do ciemnego wnętrza. Światła było tyle, ile wpadało przez małe okna, ale wystarczająco, żeby dostrzec wymalowaną na ścianach historię Męki Pańskiej i Męczeństwa św. Stanisława. Jadzia zadarła głowę, a tam z krucyfiks patrzył na nią umęczony Pan Jezus. Pod krzyżem stała rozpaczająca Matka. Jadzia uklękła przed obrazem Matki Boskiej Apokaliptycznej, która w lewej dłoni trzymała kwiat lilii, a prawą tuliła Dzieciątka. Pod stopami miała twarz księżycy, a zza jej pleców rozchodziły się promienie słońca. Dziewczynka złożyła ręce i poprosiła o zdrowie dla babci.

– Żeby babcia wyzdrowiała i była silna – błagała. – Oddam wszystko, poziomki i wszystko, co zarobię. Tylko żeby babcia była zdrowa. Do klasztoru pójde, ale niech babcia wyzdrowieje – modliła się.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Matka Boska stoi na polanie pełnej ziół i kwiatów, a w tle rośnie kępa drzew, przypominająca las nad wsią, którądy jeszcze kilka dni temu Jadzia przechodziła z babcią do poziomkowej polany. I rośliny, które rosły na tej polanie, były takie same, jak te na obrazie. Identyczne.





Dziewczynka aż wstała z drewnianej posadzki i podeszła bliżej do obrazu, żeby się lepiej przyjrzyć poziomkowym listkom. Światło z maleńkich okienek umieszczonych pod powalą oświetlało akurat świętą Barbarę, świętą Katarzynę, a nade wszystko postać Matki Boskiej. Jadzię interesowały jednak rośliny w dolnej części tryptyku. Promień słońca igrał w jej jasnych warkoczach i kiedy tak stała z zadartą głową, z zakrystii przez ciężkie malowane drzwi wyszedł Mundek, bardzo pobożny chłopak, który, kiedy tylko mógł, pomagał księdzu w kościele. We wsi mówili, że Mundek do innej roboty się nie nada, bo od urodzenia miał jedną nogę krótszą i nie nadążał za chłopakami z Przydonicy. Bardziej niż inni dbał więc o kościół. Zdarzało się, że stał i patrzył na malowane w lilie polne drzwi do zakrystii. Niby zwykłe drzwi, a Mundek oczu od nich nie mógł oderwać. Gładził dłonią odrzwia wygięte w łuk, porównywał z innymi łukami w kościele. Kiedyś zauważył napis i zapytał księdza proboszcza, co to za litery, a ksiądz mu powiedział, że to podpisał się Paweł, który ten kościół budował. Mundkowi bardzo się to spodobało, że człowiek podpisuje swoje dzieło imieniem. Od tej pory z jeszcze większym zapałem dbał o wszystko w kościele i wokół niego. Sadził kwiaty, przycinał krzewy. Ostatnio nawet postawił dwa ule z tyłu, od północnej strony kościółka, nieopodal spichlerza, i dobrze się nimi opiekował. Przed Bożym Ciałem zebrał miód



mniszkowy, teraz czekał, aż zakwitną lipy. I właśnie wychodził z zakrystii, bo miał iść do uli, gdy ujrzał Jadzię w pięknej chustce malowanej w lilie. I kolana się pod nim ugięły. Po pierwsze dlatego, że nikogo się o tej porze w kościele nie spodziewał, po drugie dlatego, że poraziła go uroda dziewczyny. Zdało mu się, że to Najświętsza Panienka zeszła z obrazu. Dziewczyny z Przydonicy do kościoła zakładały chusty haftowane w różę, czerwone i purpurowe. Takie białe lilie kojarzyły się Mundkowi tylko z Matką Boską. Musiała minąć dłuższa chwila, żeby zrozumiał, że to Jadwinia od Tatara, tego, który miał siwe konie.

– Co tu robisz, Jadwiniu? – zapytał, kiedy już odzyskał mowę.

– Modłę się, żeby babcia wyzdrowiała – odparła dźwięcznym głosem. – Zbierałam poziomki i wracając, wstąpiłam do kościoła.

Jadzia wzięła koszyki i ruszyła w stronę wyjścia. Nad drzwiami spojrzała jeszcze na wymalowany początek biblijnej historii: kuszenie Adama i Ewy. Jej uwagę przykuło jabłko zawieszone na drzewie poznania dobrego i złego. Przeżegnała się i wyszła na zalaną słońcem łąkę.

Na zewnątrz oślepiło ją światło, tak że aż musiała przysłonić oczy ręką. Stała akurat naprzeciwko spichlerza, gdy Mundek wyjął jej koszyk z ręki i powiedział, żeby szli razem, bo przecież idą w tę samą stronę.

↑ Malowidło nad wejściem w kościele w Przydonicy (Adam i Ewa). Ze zbiorów Parafii pw. Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy

Dziewczyna tylko się roześmiała.

– Ty mieszkasz na Gawrońcu, to zupełnie gdzie indziej, wcale ci na Sikornik nie po drodze – tłumaczyła, ale on nie dał się przekonać.

Pszczoły brzęczały w gałęziach drzew, wśród polnych kwiatów latały motyle.

– A wiesz, że kościół miał stać zupełnie gdzie indziej? – zagaił Mundek. Jadzia zrobiła zdziwioną minę.

– Niby gdzie? – zapytała.

– Tam – chłopak wskazał ręką przeciwległe wzniesienie, na którego zboczu rósł gęsty las. – Tam chcieli ludzie postawić kościół. Jednego roku wytyczyli teren, ale przyszły tak gwałtowne burze, że się nie dało ruszyć z robotą. Następnego roku przyszła zaraza i nie było komu ścinać drzew pod budowę kościoła. A potem, kiedy już ludzie zwieźli deski pod las, a zwozili je całe lato, i nazajutrz mieli zaczynać robotę, w nocy ktoś przeniósł całe drewno na drugą stronę Przydoniczanki.

– Jak to „całe drewno”? Przez strumień? W jedną noc? Coś zmyślasz... – powątpiewała Jadzia. Mundek aż się zatrzymał. Uderzył się pięścią w pierś.

– Przysięgam, że tak było! Mój dziadek mówił, że podobno ludzie widzieli parę siwych koni ze srebrnymi grzywami splecionymi w warkocze, jak przenosiły deski. A on nigdy nie kłamie.

Jadzia spojrzała na chłopaka z ukosa. Skoro mówił tak jego dziadek, to musiała być prawda.

– Gdzie miał stanąć ten kościół wcześniej? – dopytywała.

– Podobno na polanie.

– Na jakiej polanie? – chciała wiedzieć Jadzia.

– Gdzieś w lesie. Ale jak poszliśmy z chłopakami, żeby znaleźć to miejsce, tośmy się pogubili i dopiero w nocy wróciliśmy do domu.

– Czary jakieś? – szepnęła dziewczyna, lecz Mundek tylko machnął ręką.

– Gdzie tam! Potem ksiądz dobrodziej nam wytłumaczył, że w lesie żadnej polany nie ma, że ludzie tylko tak gadali, bo chcieli pod lasem wyręb zrobić, ale skoro już się deski znalazły po drugiej stronie, to tam pobudowali, gdzie było wygodniej.

No i dobrze zrobili, bo zobacz sama, czy można sobie lepsze miejsce wymarzyć?

Jadzia nic nie powiedziała.

– Chłopaki, z którymi się wtedy zgubiłem, wyjechali do Ameryki za chlebem. Tadzik mówił, że jak się tam urządzi, to mnie ściągnie – ciągnął Mundek. – Ale ja nie wiem, czy bym opuścił Przydonicę. Tu jest wszystko, czego człowiek potrzebuje... – spojrzał na Jadzię i umilkł.

Właśnie doszli do jej domu.

Na podwórku babcia Regina wylewała wodę z szaflika.

– Babciu, wracaj do łóżka, przecież byłeś chora! – krzyknęła wnuczka, bo naprawdę przestraszyła się o babcię.

– Ale wyzdrowiałam! – zaśmiała się głośno. – Leżałam, leżałam i nagle poczułam, że już jestem zdrowa. Zobacz, ile mam siły!

– I nic cię nie boli? – dopytywała podejrzliwie Jadzia.

– Nic a nic – mówiła babcia, i rzeczywiście wyglądała na silną i zdrową.

Mundek postawił koszyki z poziomkami na schodkach.

– To ja już pójdę – powiedział, odwrócił się i wyszedł. Jadzia błada patrzyła za nim.

– Skądżeś go wzięła? – chciała wiedzieć babcia.

– Z kościoła – szepnęła Jadzia. – Modliłam się przed cudownym obrazem Najświętszej Pani i wtedy on... – Jadzia przerwała. Babcia spojrzała na nią badawczo.

– I co? Podoba ci się ta nasza Matka Boska?

Dziewczynka tylko skinęła głową w odpowiedzi.

– Nie tylko tobie. Kiedyś latem przyjechali do Przydonicy studenci z Krakowa z jakimś swoim profesorem i tak im się nasz kościół spodobał, że wszystko rysowali... Taki jeden Staszek, czy Stefek, ze swoim przyjacielem Józkiem przychodzili do mnie na podłomyki z borówkami, wiesz które... Młoda jeszcze byłam, panienka... A oni tak się zachwycali, tak wszystko rysowali!

– I tę Matkę Boską na księżycu też?

– Ta się im najbardziej podobała. I święta Barbara i święta Katarzyna ze starego ołtarza. Tryptyk! Mówili na nie tryptyk. A swoje rysunki nazywali „śkice”.

Kościół w Przydomicy, fot. M. Cholewa, lata 1930–1950. PIME







– Śkice – powtórzyła Jadzia i o nic już więcej nie pytała.

Następnego dnia była sobota. Dzieciaki szły z krowami na Wygon, gdy Jadzia zarzuciła czerwoną chustkę na ramiona i poszła do miasta sprzedawać poziomki. Była już na zakręcie za Przydonicą, gdy minął ją Mundeck jadący wozem zaprzęgniętym w jedną starą klacz.

↑ Rysunek środkowej tablicy gotyckiego tryptyku w Przydonicy, S. Matejko (?), 1892 (szkicownik Stanisława Wyspiańskiego z wycieczki z Władysławem Łuszczkiewiczem). MUJ, domena publiczna

- Dokąd idziesz? – zapytał.
- Do miasta na targ. Poziomki niosę.
- Wsiadaj – wskazał głową miejsce obok siebie.

Dziewczyna chętnie skorzystała. Im wcześniej będzie na targu, tym drożej sprzeda owoce, szybciej wróci do domu i może zdąży jeszcze przed zmrokiem upiec podpłomyki i chleby na niedzielę. Tato teraz pracował przy sianokosach, babcia od wczoraj prała pościel po chorobie, a chleb przecież zrobić trzeba. Mundek całą drogę opowiadał jej o księdzu Mordawskim, który intencje miał dobre, ale narobił długów i wyjechał do Chicago zarabiać dolary i od tamtej pory ściąga do siebie ludzi z Przydonicy. A potem zaczął opowiadać o pszczołach i widać było, że to pasja Mundka.

– Ja to bym mógł cały dzień albo malować, albo pszczoł doglądać. W Ameryce nie ma słodsze go miodu niż nasz – powiedział ze śmiechem.

Jadzi przyszła do głowy myśl, że ciepłe podpłomyki z miodem muszą być pyszne.

– Wiesz, Mundek – zaczęła i już miała go zaprosić na jutro na podpłomyki, kiedy ugryzła się w język. Niestosowna byłaby przecież taka propozycja.

– Co, Jadwiniu? – dopytywał.

– A nic, zatrzymaj konia, ja tu wysiadę. Stąd będę miała blisko. Mundek posmutniał, ale zrobił, o co go prosiła.

Jadzia zgrabnie zeskoczyła z wozu, Mundek podał jej koszyki, zaciął konia i pojechał. Ona po chwili wmieszała się w wielobarwny tłum kupujących i sprzedających na targu.

Stała ze swoimi koszykami pełnymi poziomek tam, gdzie dziewczyny z całej okolicy sprzedawały czarne jagody, żurawiny, suszoną tarninę, cukrową różę do ucierania, ale poziomki – tylko Jadzia. Raz po raz podchodziły kobiety i kupowały to czy tamto. W koszykach Jadzi poziomek było coraz mniej, w sakiewce pod chustką coraz więcej pieniędzy. Dziewczyny żartowały sobie i przekomarzały się jedna przez drugą. Na wieży ratuszowej wybiła dziewiąta. Przed południem pewnie przyjdą chłopcy. Dziewczyny chichotały, zgadując, który do której się będzie dziś zalecał, ale Jadzi nie było do śmiechu.

– Coś ty taka nie w humorze – zagadnęła ją Zosia z Glinika.

Jadzia nie dosłyszała pytania koleżanki, bo w tym momencie przyglądała się kobiecie, która niczego nie kupowała, krążyła jednak między przekupkami, rozmawiała z nimi i najwyraźniej do czegoś je przekonywała, bo wiele z nich chętnie sięgało do sakiewek.

– Dajże jej spokój, ona już ma swojego przydona – zaśmiała się Frania z Sikornika.

– Ja? – odwróciła się do niej zaskoczona. – Ja? Żaden do mnie z bukietem nie chodził – zachnęła się Jadzia.

– Nie? – zapytała Frania i zaczęła udawać, że jest Mundkiem niosącym dwa koszyki Jadzi. Kuśtykała przy tym tak udatnie, że wszystkie się zorientowały, o kim mowa.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem, Jadzia zaczerwieniła się aż po uszy. I na to nadeszła owa wytworna pani, która niczego nie kupowała, niczego nie sprzedawała, tylko zbierała pieniądze.

– Widzę, że wam, dziewczęta, bardzo wesoło – rzekła i w tym momencie wszystkim przeszła ochota do żartów. – A ja przychodzę w bożej sprawie, bo zbieram datki na klasztor, który na chwałę Najświętszej Panienki rozbudowuje się w Kętach.

– Gdzie Kęty? – zapytała Zosia i od razu pożałowała swego pytania, bo wytworna pani spojrzała na nią lodowato.

Kęka ulica z klasztorem Sióstr Klarysek od Wiochy (przed 1910 r. był to klasztor kapucynek). MAAK, domena publiczna



– Daleko. Ale komu Bóg miły, ten niczego nie poskąpi na dzieło Boże...

I zaczęła opowiadać o tym, czego potrzeba klasztorowi. Jadzia słuchała uważnie, na koniec wyjęła z sakiewki monetę i wręczyła ją wytwornej pani.

Pani uważnie jej się przyjrzała.

– Kto Bogu daje, sobie daje – powiedziała, po czym uniosła wysoko głowę i odeszła.

Po powrocie do domu Jadzia zrobiła podpłomyki z serem i na słodko, jeszcze zanim tato wrócił z końmi. Udały się jak nigdy! Dopiero po nich szły chleby w dobrze nagrzanym piecu.

– Jak się czujesz, babciu? – pytała wnuczka z troską w oczach, ale babcia uśmiechała się i odpowiadała, że znakomicie.

– Jeszcze będę tańczyć na twoim weselu – powiedziała, ale na te słowa ojciec otworzył drzwi i wszedł ponury jak gradowa chmura.

– Przeorysza z Kęt pytała o dziewczę, które jako jedyne sprzedawało poziomki na targu w Sączu. Ludzie jej wskazali drogę do mnie. Rozmawiałem z nią i Jadzia idzie do klasztoru. Na żadnym weselu nikt tańczyć nie będzie – co rzekłszy, zdjął buty i bez jedzenia położył się spać.

Ani Jadzia, ani babcia Regina nie wyrzekły słowa.





Tymczasem zakwitły lipy, potem przyszły żniwa. Ojca całymi dniami nie było w domu, bo pomagał ludziom zbierać orkisz z pól. Woził ziarno do młyna do Roztoki, bo znał się z młynarzem Winiarskim i lubili się obaj. Czasem do domu babci Reginy przychodził Mundek. Raz przyniósł miód, innym razem własnoręcznie wystruganego w lipowym drewnie świętka.

Wreszcie przed dożynkami odważył się i wręczył Jadzi bukiet polnych kwiatów.

– Sam zbierałem na kościelnej łące – wyznał. – Pójdziesz ze mną na dożynki? – zapytał.

↑ Wykopki w Przydonicy, lata 50. XX w. (?). Ze zbiorów Bogumiły Babiarczyk

– Nie mogę – powiedziała Jadzia, kręcąc w dłoniach bukiecik związany trzcinką splecioną w warkoczek. – Nie mogę – powtórzyła i oddała mu przydona.

– Jużes obiecana? – wyszeptał Mundek pobladłymi ustami.

– Panu Jezuskowi – odpowiedziała Jadzia równie cicho. – Ojciec matce przełożonej słowo dał. Do klasztoru mnie przeznaczył.

– Dokąd? – jego pytanie zabrzmiało jak z głębokiej studni. Mundek wyrwał je sobie z głębi serca.

– Do klarysek, do Kęt.

– Gdzie te Kęty?

– Daleko.

Mundek odwrócił się i powoli odszedł. Jadzia patrzyła za nim, jak kuśtyka, przechodząc za bramę, jak schodzi w dół do gościńca, jak mija jej ojca wracającego z młyna.

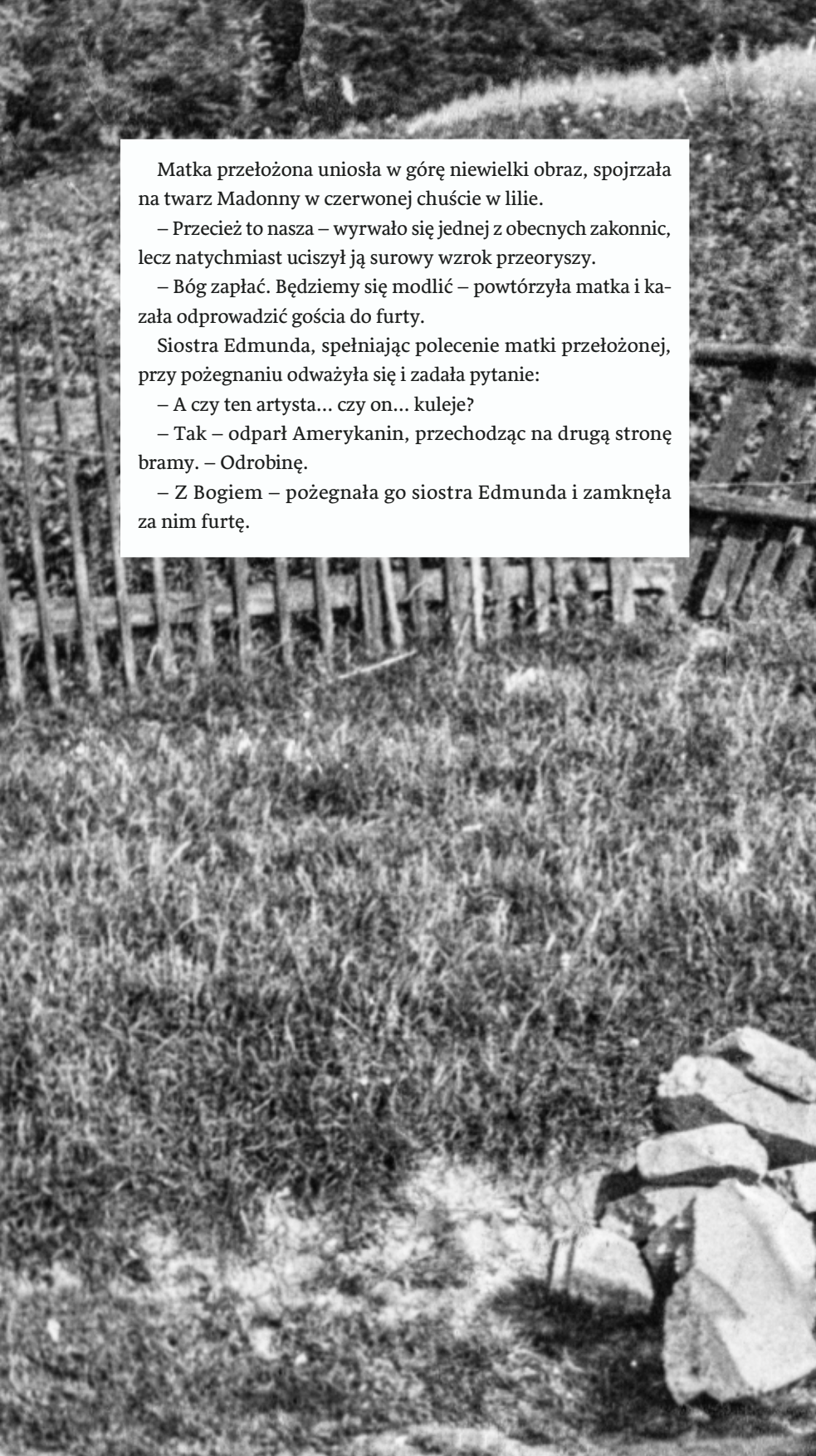
– Czego on chciał od ciebie, że wyglądał jak trup? – zapytał ojciec, wchodząc do chałupy, ale Jadzia nic nie odpowiedziała, tylko wybuchnęła płaczem i rzuciła się na łóżko.

Jesienią Jadzia poprosiła babkę o błogosławieństwo, zawiązała swoje rzeczy w tobołek, zarzuciła na ramiona czerwoną chustkę haftowaną w lilie i ojciec ją zawiózł do klasztoru Klarysek od Wieczystej Adoracji w Kętach. Matka przełożona przyjęła ją dość serdecznie. Jadzia niemal od razu zgłosiła się do pracy w kuchni i w ogrodzie. Nikt nie robił tak znakomitych podpłomyków jak ona, a ponieważ w klasztorным ogrodzie wraz z Jadwigą pojawiły się poziomki, na stoły klarysek trafiały odtąd podpłomyki z poziomkami.

Jadwiga wraz ze ślubami wieczystymi przyjęła imię Edmunda. Całe życie pracowała w kuchni i w ogrodzie.

Wiele lat później z Ameryki do Kęt przyjechał pewien mężczyzna i natychmiast udał się do klarysek z informacją, że przywozi im w darze malowany na drewnie obraz Matki Boskiej. Amerykanin złożył obraz na ręce matki przełożonej, a ona serdecznie mu podziękowała i obiecała modlić się za niego i za owego malarza.

– O tu, proszę spojrzeć, tu jest podpis artysty – powiedział, wskazując napis w dolnym rogu. Mundek Przydon – przeczytał na głos.



Matka przełożona uniosła w górę niewielki obraz, spojrzała na twarz Madonny w czerwonej chuście w lilie.

– Przecież to nasza – wyrwało się jednej z obecnych zakonnice, lecz natychmiast uciszył ją surowy wzrok przeoryszy.

– Bóg zapłać. Będziemy się modlić – powtórzyła matka i kazała odprowadzić gościa do furty.

Siostra Edmunda, spełniając polecenie matki przełożonej, przy pożegnaniu odważyła się i zadała pytanie:

– A czy ten artysta... czy on... kuleje?

– Tak – odparł Amerykanin, przechodząc na drugą stronę bramy. – Odrobinę.

– Z Bogiem – pożegnała go siostra Edmunda i zamknęła za nim furtę.



Mieszkanca Przydomicy, lata 90. XX w. (?), ze zbiorów Bogumili Babiarczyk

Łętni wypoczynek w Lesie Wojskim, lipiec 1932. NAC, domena publiczna





O TULIPANOWCU I MUZYCE

Las Wolski w Krakowie



Inżynier Wincenty Wobr dopił kawę, odstawił filiżankę na spodek i strzepnął okruszki chleba na serwetkę. Zamknął „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, po czym odłożył gazetę na bok. Jesienne słońce wyjrzało znad dachów Krakowa i wpadło do pokoju pod ostrym kątem, oświetlając sprzęty i odbijając się w kryształowych szybach kredensu mieszkania Wobrów. Po chwili znów skryło się za zasłoną chmur. Mężczyzna wstał od stołu, przeszedł do przedpokoju, tam włożył płaszcz, wziął teczkę, kapelusz i wyszedł na ulicę Krupniczą.

Niby jesień tego roku była łagodna i sucha, ale wczesne poranki były już chłodne. Krakowianie na noc palili w piecach, z kominów wydobywał się gęsty dym. Otuleni płaszcami ludzie przemykali pod murami kamienic do swoich prac.

Inżynier energicznym krokiem ruszył w kierunku ulicy Szujskiego, gdzie na rogu z Krupniczą był postój dorożek. Wsiadł do pierwszej, zaprzęgniętej w dwa kare konie. Z ich chrap buchała para, kiedy ruszyły stępa. Wincenty Wobr pochylił się do woźnicy.

– Do Lasu Wolskiego – podał kierunek.

– Rzecz jasna, panie radco – uśmiechnął się fiakier pod wąsem.

Dorożka wytoczyła się z Krupniczej. Wincenty Wobr zasłuchał się w miarowy odgłos kopyt.

↑ Kopiec Kościuszki, widok z Błoń, pocztówka, ok. 1900. Polona, domena publiczna

„Jak dobra sekcja rytmiczna orkiestry kameralnej ze Lwowa” – pomyślał z rozrzwennieniem. W czasach młodości muzyka stanowiła ważną część jego życia. Wincenty ptasie trele albo stukanie dzieciola słyszał w najmniej oczywistych miejscach. Nawet jazda dorożką była dla niego muzyką.

Na wysokości Błoń konie przeszły w kłus. Inżynier Wobr spojrział na zegarek i z przyjemnością stwierdził, że jak zwykle przybędzie na zebranie Zarządu Lasów Miejskich przed czasem. Mawiał, że punktualność jest przywilejem królów, funkcjonariuszy państwowych obowiązują znacznie bardziej surowe zasady. I faktycznie, jako przewodniczący Zarządu był na wszystkich posiedzeniach co najmniej kwadrans wcześniej i zawsze doskonale przygotowany merytorycznie. Z tego zresztą słynął, jeszcze zanim w 1912 roku przeniósł się z żoną i córkami do Krakowa.

„Ile to lat minęło od chwili, gdy Henryka po raz pierwszy poszła na Kleparz po owoce dla dziewczynek? Dziesięć lat. W tym roku minęło dziesięć lat. Jak ten czas szybko płynie. Ciekawe, jak Kraków będzie wyglądał w przyszłości. Za sto lat pewnie w mieście będzie pełno drzew i dostęp do Lasu Wolskiego też będzie lepszy” – myślał wsłuchany w rytmiczny odgłos końskich kopyt.

Spod Bagateli do Lasu Wolskiego było koło sześciu kilometrów. Gdyby puścić linię tramwajową albo kolej linową z Małych Błoń dalej, do Sowińca, krakowianie mieliby ułatwioną komunikację z lasem miejskim. Na razie jednak nic nie zapowiadało, żeby takie przedsięwzięcie miało zostać zrealizowane. Inżynier Wobr nadal jeździł do pracy dorożką.

Dziesięć lat mieszkał w Krakowie i zdążył się zżyć z tym miastem. Miał tu wielu znajomych i przyjaciół. I Henryka także znalazła towarzystwo, dziewczynki nawiązały przyjaźnie. Przyjechali tu, bo Wincenty dostał pracę w starostwie jako radca leśny. Za zasługi otrzymał nawet order kawalerski Franciszka Józefa i wiele innych odznaczeń z rąk prezydenta Juliusza Lea i jego zastępcy, Józefa Sarego. Z tym ostatnim poznał się lepiej, bo prezydent Sare przykładał szczególną wagę do zieleni w mieście i często wzywał do siebie radcę. Jako architekt nie mógł przecież tego aspektu pomijać! Obaj mężczyźni rozumieli się znakomicie, bo kiedy Wobr był jeszcze młodym chłopakiem,

pomagał ojcu przy budowie dróg galicyjskich, znał i szanował pracę budowniczych i architektów. Jego ojciec był inspektorem w ck Dyrekcji Budownictwa i pokazywał synowi, na czym polega praca planisty i konstruktora. Wincenty z olbrzymim szacunkiem podchodził więc do wiedzy budowniczych, architektów, urbanistów i inżynierów. Zanim jeszcze skończył gimnazjum i zdał maturę, wiedział, że chce zostać inżynierem, a ponieważ najlepszy był z przyrody i kochał las, poszedł w tym kierunku. Dostał się z wysoką lokatą na studia leśne i nigdy tego nie żałował. Józef Sare potrafił docenić jego wiedzę i zaangażowanie. Zresztą obaj prezydenci, i Leo, i Sare, uważnie słuchali uwag i rad inżyniera Wobra dotyczących urządzania parków i ich roli społecznej i przyrodniczej. Wobr skończył Wyższą Szkołę Lasową we Lwowie, a dendrologia i urządzanie lasu były przedmiotami jego szczególnego zainteresowania.

„Jak to było dawno, kiedy byłem studentem we Lwowie” – rozmyślał.

A teraz, jadąc dorożką, ujrzał gęsty kobierzec kolorowych koron drzew, a z daleka usłyszał dzwony klasztoru Kamedułów.





„Jak to musiało być, że Mikołaj Wolski na odkupienie win postanowił ufundować klasztor, ale żeby wykupić Bielany, musiał uciec się do fortelu?” – Inżynier Wobr przypomniał sobie opowieści krążące o tym miejscu. Jeszcze zanim Sebastian Lubomirski pod koniec XVI wieku odkupił Bielany od Chełmskich, Jan Długosz podejmował próby, by w tym miejscu założyć klasztor kartuski, bo do zakonu kartuzów miał wielką słabość. Niestety, śmierć przerwała jego starania, a potem nikt już nie zrealizował tego pomysłu. Od spadkobierców Chełmskiego ziemię tę kupił Lubomirski i sprzedawać Bielany nie zamierzał.

Tymczasem Mikołaj z Podhajec Wolski był panem ogromnej fortuny, a przy tym uczonym i podróżnikiem. Przez koneksje zbliżył się nawet do dworu cesarza Rudolfa, który go zainteresował alchemią, a następnie wraz z samym Zygmuntom III Wazą dzielił pasję do wiedzy tajemnej. Nie w ten sposób jednak pomnażał swój majątek, lecz najzwyczajniej miał w Kłobucku warsztaty ludwisarskie i zarabiał na działach i kulach, które w tych burzliwych czasach były w cenie. Otrzymywał też dochody z racji pełnionych funkcji i ze starostw, jakie posiadał. Tak się jednak stało, że nie będąc kawalerem maltańskim, przez kilkanaście lat pobierał nienależne mu pieniądze. Jako człowiek honoru postanowił jednak zadośćuczynić tym winom i za radą jego świątobliwości Klemensa VIII ufundować w Krakowie klasztor surowej reguły kontemplacyjnej. We Włoszech spodobał mu się zakon kamedułów i taki zapragnął założyć na Bielanach pod Krakowem. Cóż, kiedy kasztelan Lubomirski ziemi sprzedawać nie zamierzał.

↑ Obraz przedstawiający pracownię alchemiczną na dworze króla Zygmunta III Wazy. Pośród zebranych Mikołaj Wolski z łupą w ręku, Jan Matejko, 1867, Muzeum Sztuki w Łodzi. Wikimedia Commons, domena publiczna



MIKOŁAJ WOLSKI
MARSZ. W. K.

Uśmiechnął się inżynier Wincenty Wobr na myśl o tym, jak Mikołaj Wolski wszedł w posiadanie Lasu Bielańskiego. Uśmiechnął się, bo wyobraził sobie swoją żonę Henrykę w takiej roli, jaką odegrała w tej sprawie żona Sebastiana, Anna z Branicz Lubomirska, kobieta szlachetna i wielce pobożna. Kiedy Lubomirski konsekwentnie odmawiał przekazania ziemi pod założenie klasztorne, Wolski przekonał do tego przedsięwzięcia jego szanowną małżonkę. Razem uradzili, że rzecz się uda w doborowym towarzystwie, gdy Lubomirski zostanie wprowadzony w dobry humor sutą kolacją i niezgorszym winem. Wolski wyprawił wspaniałą ucztę, na którą zaprosił kasztelana Lubomirskiego z żoną, księdza biskupa krakowskiego kardynała Bernarda Maciejowskiego, księcia Jerzego Zbaraskiego, bardzo kamedułow przychylnego, oraz wielu innych znamienitych gości. A kiedy pod koniec wieczoru rozmowa zeszła na wybór godnego miejsca dla klasztoru kamedułów, Anna Lubomirska tak nią pokierowała, że jej mąż sam zadeklarował, że ofiaruje i górkę św. Stanisława, i całe Bielany. Akt darowizny był już przygotowany, wystarczyło tylko, że gospodarz podsunął go kasztelanowi Lubomirskiemu, ten podpisał go w obecności świadków. W zamian w dowód wdzięczności Mikołaj Wolski ofiarował mu całą srebrną zastawę, na której wyprawiono tę ucztę, i od niej szczyt, na którym stanął później klasztor, nazwano Srebrną Górą. Sam Mikołaj chętnie spędzał czas w murach klasztoru, miał nawet swoje ulubione miejsce z kominkiem, gdzie w długie zimowe wieczory spotykał się z przyjaciółmi i zakonnikami. Wiosną i latem dbał o ogród, bo otoczenie pięknej przyrody przynosiło ukojenie jego duszy. Wsłuchiwał się w śpiew ptaków i szum wiatru w koronach drzew. Przed śmiercią, kazał się pochować w murach klasztoru, a na płycie nagrobnej wyryć napis: „Ze strachem myślę o czynach moich i przed Tobą się rumienię; gdy przyjdiesz sądzić, Panie, nie chciej mnie potępić”.

Piękna to historia i zawsze się przypominała inżynierowi Wobrowi, gdy słyszał klasztorne dzwony.

Wincenty miał dość czasu na rozmyślanie, kiedy jechał dorożką do pracy. Zazwyczaj planował obowiązki, analizował różne rozwiązania, szukał najlepszych dla przyrody i ludzi, ale zdarzało się, że jego myśli uciekały do czasów przed przybyciem do Krakowa.





Wcześniej pracował w Mizuniu, niedaleko Stanisławowa, jako cesarsko-królewski urzędnik w Zarządzie Lasów i Domen. Kilka lat potem, w 1890 roku, objął stanowisko nauczyciela w Szkole Rządowej dla Kandydatów na Leśników w Bolechowie. Z Bolechowem zresztą do tej pory utrzymywał dobre kontakty i prowadził ożywioną korespondencję z dawnymi kolegami. Gdyby Wincenty miał się przyznać, musiałby powiedzieć, że z wieloma z nich połączyła go szczerza przyjaźń i że w pierwszych miesiącach po przyjeździe do Krakowa brakowało mu towarzystwa bolechowskich leśników. Tęsknił zresztą nie tylko za wspaniałymi ludźmi stamtąd, ale i za pierwotnymi lasami rozciągającymi się zaraz za rogatkami miasta. I za pięknymi, stuletnimi tulipanowcami, które na początku wakacji obsypywały się kwieciami. Kiedy Wincenty zamykał oczy i przywoływał atmosferę tamtych dni, niemal czuł ich zapach.

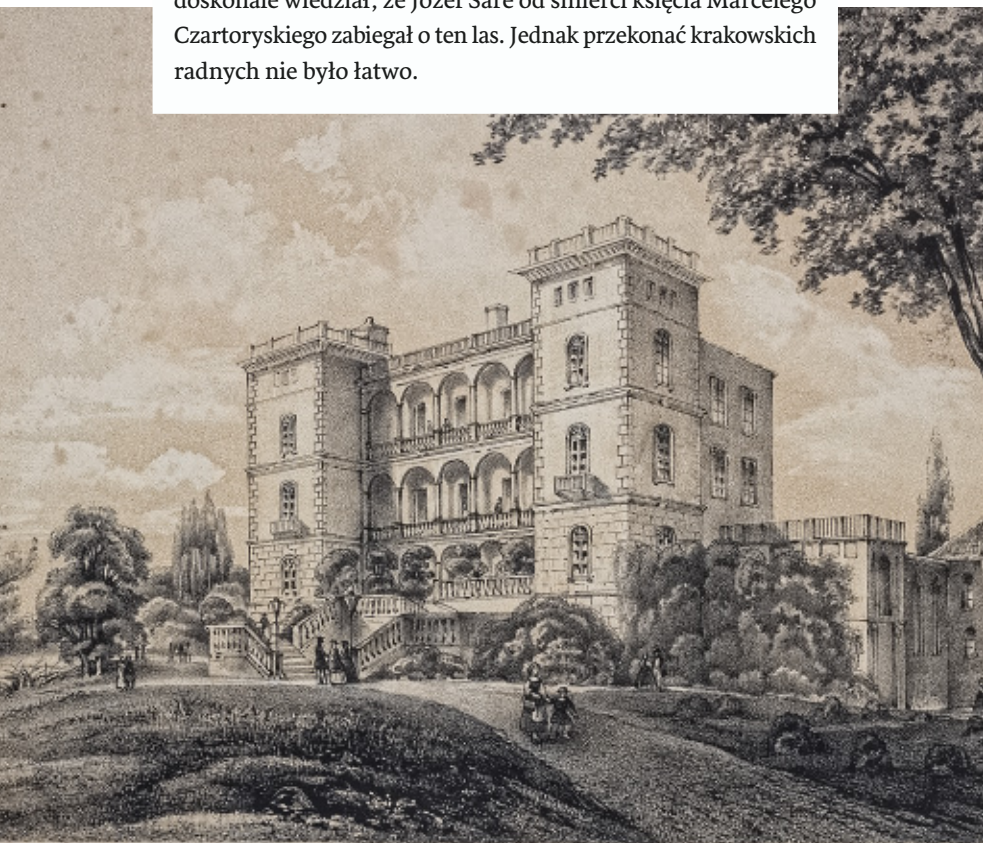
„Jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie posłuchał wtedy Adama Fedorowicza i został w szkolnictwie?” – myślał, wypatrując fortyfikacji ukrytych na terenie lasu, i natychmiast przypomniały mu się ćwiczenia z nawigacji w terenie, które prowadził w Bolechowie. Oczywiście wyobraźni zobaczył rozkrzyczanych gimnazjalistów, wtedy kandydatów na leśników, dziś już z pewnością poważnych funkcjonariuszy służby leśnej. Uśmiechnął się do wspomnienia. Lubił swoich uczniów i miał wrażenie, że oni także go szanowali, a jego przedmiot traktowali poważnie. No ale starosta Fedorowicz ściągnął go do siebie, do Rzeszowa, i Wincenty wiele pięknych lat spędził w rzeszowskich lasach jako komisarz albo biegły sądowy, a potem inspektor i członek Komisji egzaminacyjnej na strażników leśnych i technicznych pomocników lasowych. Pamiętał każdego egzaminowanego, jego imię, nazwisko, twarz i pytania, na jakie musiał odpowiedzieć. I czy umiał, czy nie. Ale do Bolechowa wróciłby w każdej chwili.

Czas spędzony w Rzeszowie zbiegł się z najszcześniejszymi latami Wincentego. Jego córki były jeszcze malutkie, opiekowała się nimi żona, Henryka, kobieta piękna, elegancka i bardzo zaradna. Wincenty był rad, patrząc, jak wychowuje ich dzieci. Uśmiechnął się na myśl o córkach.

Właśnie wjeżdżali w piękną październikową aleję prowadzącą do lasu i Wincenty pomyślał, że ta praca też była niezwykle

satysfakcjonująca. Już sam fakt, że pośrednio przyczynił się do zakupu Lasu Wolskiego z przeznaczeniem na potrzeby mieszkańców miasta, świadczył, że liczono się w Krakowie z jego zdaniem. I że zostawiono mu wolną rękę w zarządzaniu Lasu Wolskiego – to także dawało mu satysfakcję.

Z tym zakupem lasu to był poniekąd przypadek. Wincenty od 1912 roku był radcą leśnym w krakowskim starostwie. Wtedy też poznał Juliusza Lea i Józefa Sarego, dla których zielen miejska, parki i naturalne enklawy dzikiej przyrody były niezwykle ważne. Poznał również kilku rajców miejskich i wielu krakowian. Jako radca leśny musiał przyjmować różnych ludzi, którzy przychodzili do niego ze skargami i pytaniami. I tak się stało, że w 1916 roku spółka założona przez Eugeniusza Nitscha i Karola Homolacsa, działająca pod wdzięczną nazwą „Wola Justowska”, zwróciła się do niego z prośbą o pośrednictwo w sprzedaży fragmentu Lasu Wolskiego. Chodziło o to, że spółka chciała odstąpić kamedułom mniej więcej 100 mórg lasu na granicy z Bielanami. Z rozmowy w gabinecie Wobra wynikało, że spółka ponadto prowadzi rozmowy z hrabią Tarnowskim na temat sprzedaży Lasu Wolskiego wraz z Panieńskimi Skałami. A przecież Wobr doskonale wiedział, że Józef Sare od śmierci księcia Marcelego Czartoryskiego zabiegał o ten las. Jednak przekonać krakowskich radnych nie było łatwo.



Sare opowiadał, że po raz pierwszy temat zakupu Lasu Wolskiego przez miasto Kraków pojawił się późną jesienią 1909 roku, gdy rodzina przywiozła z Lozanny trumnę z ciałem księcia Marcelego Czartoryskiego, aby złożyć ją w grobowcu Czartoryskich na Cmentarzu Rakowickim. Księżę Czartoryski odszedł bezpotomnie. Jego córka Rozalia Maria zmarła w wieku zaledwie dwudziestu lat. I tak oto do dziedziczenia po Marcelim Czartoryskim powołani zostali dalsi krewni księcia, Maria Róża z Potockich i jej mąż Jan Tarnowski. I byli oni nawet skłonni sprzedać Las Wolski władzom Krakowa, ale nieoczekiwanie opór pojawił się ze strony radnych miasta. Józef Sare nie umiał opowiadać o tym spokojnie. Zżymał się na krótkowzroczność i egoizm rajców miejskich.

– Jak można nie rozumieć celowości takiego zakupu? Ponad czterysta hektarów lasu w pobliżu miasta! Sowiniec i Pustelnik! Wspaniałe warunki do uprawiania sportów i odpoczynku. Nasza młodzież miałaby zajęcia terenowe z prawdziwego zdarzenia. Wyobraź sobie miejski szlak narciarski albo największy w Galicji park miejski! Ale do tych zakutych łbów takie argumenty nie docierają. Do tego trzeba by mieć odrobinę myśli społecznej, wyobraźni, że dbanie o dobro wspólne jest dbaniem o siebie. Do nich nie trafiają nawet wyliczenia, że z wyrębu drzew i odstrzału zwierzyny można mieć pokaźny dochód. No ale dochody kasy miejskiej ich nie interesują, bo najpierw trzeba by uszczuplić finanse, wyłożywszy okrągłą sumkę, jakiej żądają Czartoryscy. Przekonać ich jest niemożliwością. A już na pewno przekonać ich do tego nie potrafi Żyd. Myślisz, że nie wiem, co mówili do Juliusza, kiedy zostałem drugim prezydentem? – machał ręką Sare, gdy opowiadał o tym koledze inżynierowi przy okazji rozmowy o zasobach leśnych Krakowa. – Taki potencjał, taki potencjał! Czterysta hektarów! – żałował.

Józef Sare jako architekt szczególnie dbał o urbanistyczne zachowanie charakteru Krakowa z uwzględnieniem drzew. Kiedy projektował kompleks szpitalny czy budynki krakowskich szkół, najpierw patrzył na otoczenie i dostosowywał projekt do miejsca, z zachowaniem patriotycznych elementów urbanistycznych i przyrodniczych. Zwracał uwagę na dźwięki: śpiew ptaków, szum drzew, muzykę płynącą z przyrody. Opowiadał Wobrowi

o dyskusjach, jakie prowadził w Radzie Miasta, by przekonać rajców do pomysłu oddania Lasu Wolskiego w ręce mieszkańców Krakowa. Na próżno. W końcu inne bieżące sprawy okazały się pilniejsze i wydawało się, że temat umarł.

Tymczasem spadkobiercy Czartoryskiego przygotowywali Las Wolski do sprzedaży, dokonując systematycznego wyrębu. Jeszcze przed Wielką Wojną spieniężyli najdorodniejsze okazy, dęby, sosny i buki, a podczas wojny dalej cięli w pień, tym razem na potrzeby wojskowości. Z wyrąbanych pni wyrastały odrosty, po dwa, trzy cienkie drzewa, bardziej nadające się na opał niż na deski. Wincenty Wobr doskonale znał ten widok. Buki rosły dwójkami, trójkami. Wymagały więcej troski i pracy, a ich wartość gospodarcza była niewielka. Charakter takiego lasu był zupełnie inny niż wcześniej, ale co było robić? Nie można zabronić właścicielom, by korzystali ze swojej własności.

Aż i im skończyła się cierpliwość i uznali, że nie ma sensu dłużej czekać na decyzję miasta. Postanowili sprzedać Las Wolski spółce, a ta myślała o rozparcelowaniu terenu i zbyciu go częściowo kamedułom, częściowo w prywatne ręce. I z taką właśnie sprawą Nitsch i Homolacs zwrócili się do radcy leśnego, inżyniera Wincentego Wobra. Po rozmowie z przedstawicielami spółki, Wobr jeszcze tego samego dnia umówił się z Sarem.





– Jeśli las pójdzie w prywatne ręce, nic z niego nie zostanie – powiedział do przyjaciela. Józef wstał i zaczął przechadzać się po pokoju tam i z powrotem, tam i z powrotem. Założył ręce za plecami, zmarszczył czoło.

– Co robić? – pytał. – Co robić? Skąd wziąć pieniądze?

– Z Kasy – odpowiedział Wincenty. – Gdybyśmy podsunęli dyrektorowi pomysł, że z okazji jubileuszu Kasy Oszczędności warto taki las nabyć dla dobra wspólnego i gdyby on sprawę przedstawił Radzie, której prezesem jest Leo... – mężczyzna zawiesił głos. – Jeśli będzie trzeba, wydam stosowną opinię. Mam wszelkie dokumenty rachunkowe. Taki las to nadal dobry interes.

↑ Wincenty Wobr, międzywojnie. NAC, domena publiczna

Sare uderzył się dłonią w czoło.

– Z Kasy, naturalnie. Jedziemy!

Budynek Kasy Oszczędności mieścił się przy Szpitalnej. Sare i Wobr wysiedli z dorożki, przytrzymując kapelusze.

Odźwierny otworzył przed nimi ciężkie drzwi.

– Dzień dobry, panie Adamie – prezydent Sare szczerze ucieszył się na widok stróża, który pracował w budynku Kasy Oszczędności od samego początku. – Czy zastaniemy jeszcze dyrektora? – zapytał Sare, kierując się na schody.

– Pan dyrektor udał się już do siebie, na drugie piętro – zdążył poinformować portier, uśmiechając się do idącego za Sarem Wobra.

Dyrektor przyjął ich w swoim mieszkaniu, w salonie z lustrem. Poczęstował kawą. Uważnie wysłuchał tego, co mówił prezydent Sare. Od czasu do czasu dopytywał, czy plan urządzenia parku z zachowaniem gospodarczego charakteru lasu jest możliwy.

– Czterysta dziewiętnaście hektarów lasu gwarantuje taki podział – orzekł inżynier. – Nawet gdyby spółka sprzedała miastu trzysta jedenaście hektarów, i nawet jeśli w tym osiemdziesiąt hektarów to teren zdziczały, nadal jest czym zarządzać.

Dyrektor po godzinie rozmowy zaproponował cygaro. Następnie obiecał, że nazajutrz przedstawi propozycję Radzie Kasy.

– Jestem przekonany, że takie przedsięwzięcie znajdzie zrozumienie w naszym zespole. To ludzie światli – dodał, nalewając po kropelce koniaku do trzech szklanek.

Sare odmówił alkoholu.

– Wypiję, gdy Las Wolski będzie należał do krakowian – rzekł.

Dziś Wincenty Wobr jechał aleją Kasy Oszczędności. Końskie kopyta stukały o bruk, a inżynier wspominał spotkania finalizujące zakup lasu.

Wtedy, po wyjściu z budynku Kasy Oszczędności przy Szpitalnej, Sare i Wobr uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się, każdy w swoim kierunku. Sare na Zwierzyniecką, Wobr na Krupniczą. I wszystko zmierzało w dobrym kierunku: dyrektor Kasy Oszczędności bez trudu przekonał Radę, że z okazji pięćdziesięciolecia istnienia Kasy w Krakowie warto wykonać taki patriotyczny gest.



– Naszym wielkim marzeniem jest wykupienie Lasu Wolskiego i oddanie go na cele publiczne – powiedział prezydent na jednym z zebrań Rady Miasta. – Chciałbym otoczyć Kraków, nasz wspólny wielki Kraków kordonem lasu, ścianą zieleni, parkami i skwerami pełnymi drzew, które roztoczą nad naszym miastem opiekę – mówił Leo.

W lipcu 1917 roku, podczas podpisywania aktu przekazującego Las Wolski w ręce krakowian, panowała uroczysta atmosfera.

– Pięćdziesięciolecie istnienia Kasy Oszczędności to doskonała okazja, by nabyć Las Wolski dla Krakowa – stwierdził dyrektor Kasy.

– Po siedmiu latach jałowych prób wystarczył jeden dzień, by przekonać właściwych ludzi do tego ruchu – oznajmił prezydent Józef Sare, wznosząc kieliszek szampana.

Jeszcze tego samego roku został powołany Zarząd Lasów Miejskich, na którego czele stanął inżynier Wobr.

Po nominacji zajęchał dorożką na Krupniczą 8 i wtaszczył do mieszkania ogromne pudło.

– Co to jest? – dopytywały dziewczynki.

– Gramofon – odpowiedział Wincenty z dumą.

Tego samego dnia wieczorem położył płytę i zakręcił korbą. Z tuby rozległy się pierwsze takty walca.

– Zatańczysz ze mną? – zapytał Henrykę, obejmując ją w talii.

↑ Komisja miejska oglądająca las przed jego zakupem, pośrodku Juliusz Leo, po lewej Wincenty Wobr, po prawej Józef Sare, 1917, il. z gazety „Nowości Ilustrowane” 1924, nr 10, s. 5



Inżynier Wobr bez zbędnej zwłoki przystąpił do inwentaryzacji i planowania lasu. Po rozmowach z prezydentami Leo i Sarem wytyczył obszar pod ogólnodostępny rozległy park. Jakiś czas później zamówił tablice i drogowskazy turystyczne.

– Po co robić coś brzydko, skoro można ładnie? – przekonywał Zarząd Lasów Miejskich. – Po co robić coś chaotycznie, skoro można metodycznie – ciągnął. – Las należy podzielić na obwody w zależności od kształtu terenu. Inaczej wytycza się ścieżkę na otwartej przestrzeni, inaczej w wąwozie. Mamy kilka polan, na przykład moją ulubioną Polanę Jasną. Uczyńmy je punktami centralnymi szlaków spacerowych.

W raportach do Starostwa relacjonował posunięcia dokonane na terenie Lasu: wytyczenie części naturalnej, rekreacyjnej i produkcyjnej Lasu Wolskiego. Zdawał szczegółowe sprawozdania z zarządzania częścią gospodarczą, z rozliczeniem inwestycji i dochodów. Planował charakter każdego z dwudziestu sześciu obwodów leśnych, szacował długość ścieżek pieszych, dróg jezdnych, duktów i chodników. Proponował gajówki dla poprawy funkcjonowania służb leśnych, a dla spacerowiczów – altany, pawilony, kioski i restauracje.

– Jak to wszystko okropnie i oficjalnie brzmi w papierach, a jakie jest piękne w rzeczywistości – wzdychał. – Gdyby można było w takim raporcie wysłać urzędnikom zapach lasu. Albo

śpiew ptaków, kiedy rano idę do pracy. Albo szelest wiatru, trzask łamanej gałązki, rytm przyspieszonego oddechu, brzęczenie pszczół w wąwozie. Mój Boże, gdyby to się dało wysłać zamiast raportu – co mówiąc, wkładał dokumentację do koperty, adresował, zaklejał i wysyłał chłopaka na pocztę.

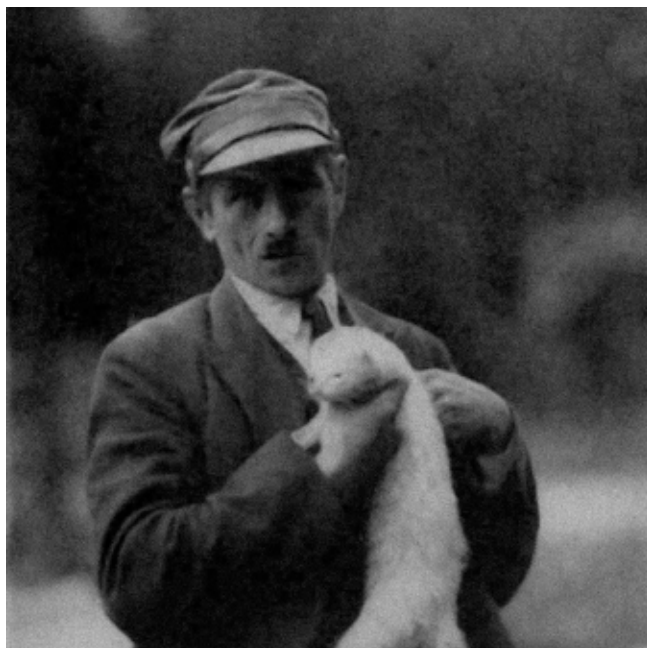
Wobr często robił obchody lasu, sam lub ze współpracownikami. Widział potrzeby i możliwości wynikające z charakteru poszczególnych miejsc. Od początku miał w głowie wizję całości, ale kilka miejsc nadal uważał za niewykorzystane. Na przykład Jasna Polana, gdzie zatrzymywał się, żeby słuchać ćwierkania, klaskania, gwizdów i treli ptaków. Mógłby tak słuchać w nieskończoność, bo uwielbiał zwierzęta.

„A gdyby tak założyć w Lesie Wolskim zwierzyniec?” – pomyślał pewnego razu Wobr, mijając bażanciarnię.

Dzisiaj, gdy jak zwykle jechał dorożką do pracy, to wspomnienie wróciło do Wincentego ze zdwojoną siłą. „A może teraz się uda?” – przekonywał sam siebie.

Dorożka zatrzymała się przed budynkiem dyrekcji i inżynier wysiadł. Kolorowe bukowe liście szeleściły mu pod nogami, gdy szedł w kierunku drzwi wejściowych.

„Jeszcze dwa, trzy słoneczne dni i zaczną się jesienne szarugi” – pomyślał, mijając rozłożystą lipę. Przystanął jak zwykle, żeby posłuchać muzyki przyrody. Daleko odezwał się kwicoł. Wobr stał jeszcze chwilę, lecz w konarach lipy panowała cisza. „Pszczółki już zimą” – skonstatował. Mimo że miał techniczne



wykształcenie i bardzo racjonalnie podchodził do kwestii zarządzania lasem, zwracał uwagę na takie drobiazgi jak aktywność pszczoł czy motyli. W Bolechowie uczulał przyszłych leśników, by zwracali baczną uwagę na zachowanie owadów, bo one dużo mówią o kondycji lasu. I znów, po raz drugi tego poranka, przypomniał sobie motyle krążące w koronach tulipanowców w Bolechowie.

„A gdyby tak wyjechać na kilka dni z Krakowa? – przemknęło mu przez myśl. – Odwiedzić stare kąty?”

Inżynier Wobr przywitał się z pracownikami i jak zwykle rozpoczął od korespondencji. Spieszył się. Za godzinę zaczynał posiedzenie Zarządu, a chciał jeszcze spojrzeć na bieżące sprawy i przejrzeć plany na kolejny rok.

Korespondencja miała w większości urzędowy charakter, lecz wśród kopert zaadresowanych do Zarządu Lasów Miejskich znajdował się list z Woysławia od Tomasza Zycha. Wincenty uśmiechnął się na wspomnienie serdecznego kolegi leśnika, którego pasją była dendrologia. Znał się na drzewach jak nikt. I jak nikt umiał taksować las, a to sztuka nie lada! Wobr pamiętał go z egzaminu w Bolechowie. Był zdecydowanie najlepszym kandydatem na leśnika. I teraz pisał o tym, co się dzieje w lasach mu podległych.

„Mamy znakomite warunki do zakładania rozsad leśnych – pisał. – Ten rok był najlepszym rokiem nasiennym naszych tulipanowców. Zaryzykuję stwierdzenie, że z tych nasion wyrosną potężne, długowieczne drzewa. Może Pan Inżynier zechciałby przyjąć od nas taki dar?” – pytał.

Wincenty natychmiast wyjął papier listowy i odpisał, że prosi o nasiona jeszcze tej jesieni.

„Jeżeli tulipanowiec wykiełkuje, część zostawimy w Lesie Wolskim, kilka zasadzimy na terenie miasta” – roztaczał wizję.

Niestety, nasiona nie dotarły tego roku. Las Wolski musiał długo czekać na kolejny nasienny rok, ale kiedy ten wreszcie nastąpił, leśnicy otrzymali cały worek nasion tulipanowca.

– Co my zrobimy z taką ilością amerykańskich tulipanowców – załamywał ręce Wrona, leśnik, którego Wobr zatrudnił do opieki nad szkołką leśną. Inżynier w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.



– Jeśli wykiełkuje dziesięć procent, będziemy mogli mówić o sukcesie – wyjaśnił. – Z tej ilości – potrząsnął workiem – otrzymamy góra kilkanaście drzew.

I stało się tak, jak powiedział. Wiosną w rozsadniku sterczało kilka małych sadzonek, które nieśmiało wypuszczały pierwsze listki w kierunku jasnego, kwietniowego słońca.

Dwie osoby w Krakowie dopytywały o życie tych drzewek ze szczególną czułością: była to żona Wincentego, Henryka, oraz Józef Sare.

– I jak tam czują się moje maleństwa? – pytał, gdy spotykał się z inżynierem.

– Rosną w siłę, ale by zakwitły, potrzeba jeszcze wielu lat.

– Chciałbym to zobaczyć! – zadumał się prezydent.

Dopiero w następnym roku Józef Sare przyjechał do lasu na spacer. Przechadzał się wśród dębów szypułkowych, buków zwyczajnych i brzoź brodawkowatych. Wymieniał ich nazwy i sprawdzał, czy je poprawnie pamięta po łacinie.

– *Quercus robur*, *Fagus sylvatica*, *Betula verrucosa* – recytował.

↑ Tulipanowiec amerykański (*Liriodendron tulipifera*), il. z książki P.O. Reveil, A. Dupuis, F. Gerard, F. Herincq, *La Regne Vegetal: Flore Medicale*, Paris 1864–1871

Wincenty natomiast wskazywał mu te drzewa, które miały nadać lasowi parkowy charakter.

– Graby i lipy pięknie rosną. Klon, jawor i jesion, kilka rodzimych gatunków iglastych także wpisuje się w naszą koncepcję lasu, ale ja ponadto uwielbiam te młode limby, daglezie, lipę srebrzystą. Nie wiem, skąd się tu wziął kasztan jadalny, ale może doczekamy czasu, kiedy skosztujemy pieczonych kasztanów? – mówił Wincenty, zatrzymując się na jednej z polan, na której niegdyś można było spotkać Malczewskiego nad sztalugą.

Mimo takiej obfitości gatunków drzew dookoła, Sare kierował się ku polanie, na której ostał się tulipanowiec i szczerze się nim zachwycił.

– Patrz – mówił do Wincentego. – Jaka siła drzemie w tym delikatnym drzewie, jaka moc. Dziś może je ściąć byle przy-mrozek, a jutro odrodzi się z jeszcze większą siłą. Mnie już nie będzie, ciebie nie będzie, gdy to drzewo będzie miało koronę całą w kwiatach. I mówię ci, za sto lat wyda nasiona, o jakich świat nie słyszał. Co to dla takiego drzewa sto lat! Bo to przecież drzewa olbrzymie. Potęga!

Prezydent Józef Sare przyjeżdżał do Lasu Wolskiego przez cały rok, ale wiosną, gdy tulipanowiec wypuszczał piękne, nietuzinkowe, czteroklapowe liście, oraz jesienią, kiedy stopniowo wybarwiały się one na kolor intensywnie żółty, obowiązkowo. Ulubione drzewo Sarego wyglądało wtedy zupełnie wyjątkowo.

– Spójrz – mówił do Wobra kolejnej wiosny. – Jakie ma przyrosty.

Aż nastąpił taki rok, taki marzec, kiedy Kraków obiegła smutna wiadomość.

Rano Wincenty dopił kawę, strząsnął okruszki z rogalików na serwetę. Przez okno wpadały poranne promienie słońca, gdy w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” przeczytał nekrolog i gazeta wypadła mu z rąk.

– Co się stało? – zapytała Henryka.

– Umarł ojciec Krakowa – powiedział tylko.

Pogrzeb Józefa Sarego odbył się następnego dnia. Tłum krakowian wypełnił ulicę Starowiślną i Miodową. Mieszkańcy Krakowa odprowadzali trumnę z ciałem prezydenta na cmentarz żydowski.



„Odchodzą wielcy. Kraków nie będzie już taki sam bez Józefa, bez Juliusza, bez Jana Kantego” – rozmyślał Wincenty Wobr, jadąc do Lasu Wolskiego dorożką zaprzężoną w dwa kare konie.

Posiedzenie odbyło się punktualnie. Przedstawiciele Zarządu Lasów Miejskich uczcili pamięć Józefa Sarego minutą ciszy. Nawet brzęczenie muchy obudzonej promieniem marcowego słońca nie przerwało pełnego powagi i żalu milczenia zebranych w sali mężczyzn. Po licznych wizytach prezydenta w Lesie Wolskim pozostała trwała pamiątka. Pawilon nazywany od jego imienia po prostu Józefówką.

Wincenty pracował w Zarządzie Lasów do końca życia. Codziennie jeździł do Lasu Wolskiego, który z roku na rok stawał się piękniejszy. Podczas jednego ze spotkań z kolegami z Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Przyrodniczego im. Mikołaja Kopernika, jeszcze za czasów Sarego, Wincenty zwierzył się, że myśli o tym, że Las Wolski byłby znakomitym miejscem dla zwierząt.

– Cóż stoi na przeszkodzie, by na terenie lasu założyć nowoczesny zwierzyniec? – zapytał Kazimierz Maślankiewicz, a Leon Holcer i Karol Łukaszewicz przytaknęli.



Wszyscy trzej byli przyrodnikami, Maślankiewicz ponadto geologiem i encyklopedystą, Holcera interesowały egzotyczne zwierzęta, Łukaszewicz natomiast zawsze podkreślał, że dobro wspólne jest ponad interesem jednostkowym i angażował się we wszystkie działania publiczne. Pomysł usytuowania zwierzyńca na terenie rozległego lasu bardzo im się spodobał. Inżynier Wobr natychmiast wyjął ze swoich dokumentów mapę Lasu Wolskiego i wskazał miejsce, które uważał za idealne pod taką inwestycję.

– Tu – powiedział, pokazując palcem obszar Pustelnika, przy alei Kasy Oszczędności. Obecni pokiwali głowami.

– To duże przedsięwzięcie – zauważył Holcer.

– I bardzo odpowiedzialne – dodał Łukaszewicz.

– Ale warto zadbać, by zwierzęta miały dobre warunki, bo nie miały takich ani na Wawelu, ani w parku Krakowskim – zauważył Wobr.

I rzeczywiście, ani zwierzyńiec zlokalizowany na terenie małego parku w pobliżu ruchliwej ulicy, ani ten z egzotycznymi zwierzętami na wzgórzu wawelskim nie zapewniały im komfortu. Zebrani mężczyźni zdawali sobie sprawę z tego, że zwierzęta chorowały tam i cierpiały.



– Racja – zgodził się Maślankiewicz.

– Znam człowieka, który się zna na zwierzętach jak nikt inny i jeśli go przekonamy do pomysłu, to nam pomoże – powiedział Wincenty Wobr i w swoich papierach odszukał adres Antoniego Koziarza.

Dwa lata trwały przygotowania, plany i budowa zwierzyńca.

Aż wreszcie nastał lipiec 1929 roku, zakwitły lipy i ich odurzający słodki zapach wabił pszczoły.

W Lesie Wolskim pojawiło się wiele znamienitych postaci. Nastąpiło oficjalne otwarcie krakowskiego zwierzyńca, którego kierownikiem został nie kto inny, lecz właśnie Antoni Koziarz.

„Można powiedzieć, że ten zwierzyńiec to jego dzieło” – pomyślał inżynier Wincenty Wobr, kiedy kierownik ogrodu prezentował znamienitym gościom dwanaście gadów, blisko sto ptaków i tyleż ssaków.

↑ Prezydent Ignacy Mościcki na podwieczorku w Lesie Wolskim. Z Mościckim (w meloniku) rozmawia Wincenty Wobr, lipiec 1929. NAC, domena publiczna



– Robimy wszystko, by nasz zwierzyniec się stale powiększał – mówił Antoni. – Niech to będzie dla nich prawdziwy dom.

Wincenty siedł z wszystkimi, lecz raz po raz zostawał w tyle niby niechący. Chciał się nacieszyć słonecznym lipcem i śpiewem ptaków.

„Lipiec, jaki to piękny czas” – rozmyślał w drodze do domu. Przystanął pod tulipanowcem, spojrzął w górę na jego gałęzie, zdjął kapelusz i otarł pot z czoła. „Dziś jego wspaniałe, czterokłapowe liście rzucają błogostawiony cień, zaś jesienią, gdy się pięknie zażółcą, będzie koroną naszego lasu, za rok będzie większy, za trzydzieści, czterdzieści lat zakwitnie, a za sto...” – Wincenty westchnął. Postał jeszcze chwilę i ruszył dalej.

Na Krupniczej czekała na niego Henryka z kolacją. Wincenty, zanim usiadł do stołu, nakręcił gramofon i położył płytę Jana Kiepury, który najpiękniej śpiewał o miłości.

– Nie wiadomo, ile życia przed nami, ale zostawimy po sobie świat odrobinę lepszy, niż zastaliśmy – powiedział do żony, a ponieważ ona знаła te jego nastroje, więc tylko mocno go przytuliła.

Las Wolski cieszył się coraz większą popularnością i nawet zagraniczni goście chcieli odwiedzić ten niezwykle park. Zwłaszcza wiosną i latem, gdy ptaki dawały najpiękniejsze koncerty, był znakomitym miejscem na wycieczki. Więc kiedy 24 czerwca 1930 roku Kraków gościł najwybitniejszych pisarzy z całego świata podczas zjazdu Penklubów, popołudniowe garden party zaplanowano w Lesie Wolskim. Gościom towarzyszył hrabia Pusłowski, Ferdynand Goetel dotrzymywał towarzystwa Johnowi Galsworthy'emu, który zachwycony lasem, dopytywał o szczegóły.

– Z godną Nagrody Nobla dbałością o szczegóły przygląda się pan przyrodzie, lecz więcej o niej opowiedzieć mógłby mój brat Walery, który zajmuje się ochroną środowiska. Prawda, że to interesujące? – Ferdynand prowadził konwersację z pisarzem.

– Niezwykle, nadzwyczajnie – entuzjazmował się Galsworthy. – Czy może pan zorganizować mi spotkanie z Walerym? Chętnie zostanę tu dłużej, jeśli zajdzie taka potrzeba – deklarował.

I rzeczywiście, można było spotkać autora *Sagi rodu Forsyte'ów*, jak spaceruje alejkami Lasu Wolskiego w towarzystwie innych dżentelmenów.





Wobr co roku zimą zlecał pracownikom przygotowanie dla mieszkańców skoczni, tras zjazdowych i biegowych. Tłumy krakowian korzystały z takich atrakcji. Od wczesnego rana w sobotę i niedzielę ściągali na Bielany i na Srebrną Górę młodszy na sanki, starsi na narty. Koło południa przed Józefówką, w latach późniejszych zwaną Babą Jagą, ustawiały się kolejki.

– Musimy pomyśleć o miejscu z prawdziwego zdarzenia, gdzie będzie można zimą zjeść coś gorącego i się ogrzać, latem ochłodzić i schować przed upałem – mówił i już zaczynał planować.

Tak minęło lato i zima, i znów na wiosnę tulipanowiec wypuścił liście o pięknym kształcie. Żona prosiła Wincentego, żeby mniej czasu spędzał w lesie, chciała, by choć na tydzień mogli razem wyjechać, żeby wypocząć. Trudno było jednak to zorganizować. Wobr zaczął chorować i nie mógł pracować tyle, ile chciał, a mimo to czuł się bardzo zmęczony.

– W tym roku w sierpniu wyjedziemy już na pewno – obiecał Henryce, kiedy w 1931 roku zaczęły się upały w mieście.

Henryka planowała wyjazd na wakacje do rodzinnego Jasła.

↑ Skocznia narciarska w Lesie Wolskim, 1941. NAC, domena publiczna

← Pisarz John Galsworthy (po lewej) w towarzystwie Kazimierza Kostaneckiego na wycieczce w Lesie Wolskim, 1930. PAUart, domena publiczna

– Zobaczysz, jak tam odpoczniesz – cieszyła się.

– Niech się tylko ten lipiec skończy i jedziemy – mówił Wincenty przy porannej kawie.

Ale lipiec się dla niego nie skończył.

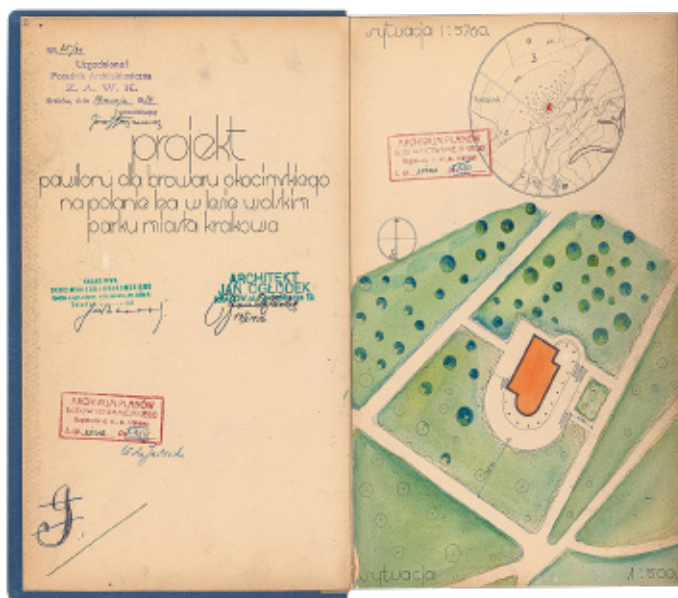
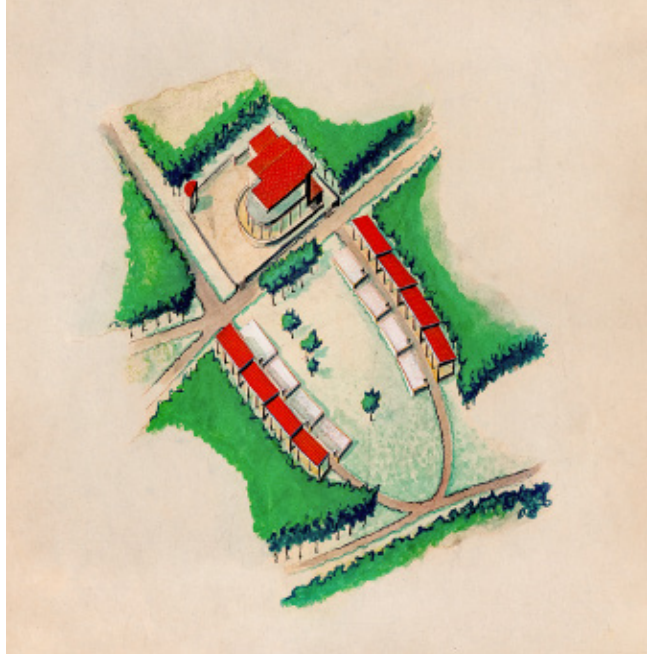
Wincenty Wobr zmarł w swoim mieszkaniu w poniedziałek 27 lipca. Dwa dni później przed kolegiatą św. Anny zebrał się tłum krakowian, by pożegnać kierownika Lasu Wolskiego. Po mszy trumna wyruszyła do Jasła, by tam spocząć na Starym Cmentarzu w rodzinnym grobowcu.

Na pamiątkę pierwszego i najbardziej oddanego sprawom Lasu kierownika przemianowano jego ulubioną Polanę Jasną na Polanę Wobra. Później, ale jakby specjalnie dla Wincentego, który wszędzie słyszał muzykę, stanął tam Pawilon Muzyczny. Współpracownicy inżyniera pamiętali spacerować z nim, gdy potrafił się zatrzymać, by posłuchać śpiewu ptaków. „Nie bądźcie głusi na muzykę!” – mówił.

Kawałek Polany Lea wydzierżawił baron Antoni Jan Götz-Okocimski. Jego browar słynął ze znakomitego piwa, którego tajemnicą była krystaliczna woda z Uszwicy płynącej przez Brzesko. Baron dbał o to, by jego piwo było serwowane we właściwy sposób.



↑ Jedna z altan znajdująca się na terenie Lasu Wolskiego, 1928. NAC, domena publiczna



– Marzy mi się miejsce słoneczne, ale zacienione, ukryte w lesie, ale ogólnie dostępne. Gdzie będzie można posilić ciało strawą i duszę prawdziwą sztuką – mówił nieco poetycko, gdy rozciągał przed Zarządem Lasu wizję Pawilonu Okocimskiego. – W styczniu pokażę panom projekt. A robi go nie byle kto, bo architekt Jan Ogłódek, współpracownik samego Szyszek-Bohusza!

↑ Projekty pawilonu dla Browaru Okocimskiego na Polanie Lea w Lesie Wolskim, 1934. ANK, domena publiczna



I rzeczywiście. Rok później na Polanie Lea stanął jasny, przestronny budynek, wkomponowany w otaczającą przyrodę.

– Kolumny inspirowane są grubością drzew rosnących wokół polany. Proszę spojrzeć, pod odpowiednim kątem widać to wyraźnie. I zwracam uwagę na przeszklenia. Znajdując się wewnątrz, ma się wrażenie całkowitego zanurzenia w lesie. Las jest wszędzie. Nie oddzielamy się od niego, lecz nań otwieramy – zachwycał się baron Götz.

Latem Pawilon Okocimski przyjmował już gości. Od tej pory codziennie przetaczał się przezeń tłum krakowian. Popołudniami, po forsownych spacerach przyjemnie było usiąść na tarasie z kuflem piwa czy szklanką lemoniady. Zaczęli tu przyjeżdżać artyści i pisarze, naukowcy, przemysłowcy, ludzie wybitni i zwykli krakowianie. Żeby usiąść, w dni wolne od pracy trzeba było telefonicznie rezerwować stolik. Wystarczyło wybrać numer 182 55 i w słuchawce odzywał się uprzejmy głos Leona Bartosiewicza, który zajmował się tym miejscem jako agent. A robił to z pełnym zaangażowaniem.

Rankiem w dzień św. Jana przy stoliku w Pawilonie Okocimskim zebrała się grupa ludzi, którzy dyskutowali o budowie Muzeum Narodowego przy Błoniach. Leon Bartosiewicz osobiście serwował śniadanie znamienitym gościom, wśród których był sam Jan Kiepura, zaproszony tu nieprzypadkowo. Tego dnia obchodził imieniny, a wieczorem miał koncert na Wawelu.

↑ Przyjęcie z okazji imienin Jana Kiepurę w Pawilonie Okocimskim.
Śpiewak w otoczeniu grupy dziewcząt z Kałusza, czerwiec 1936. NAC,
domena publiczna

Karol Łukaszewicz wygłosił toast na cześć solenizanta, rozległy się brawa. Na stole pojawiły się znakomite dania. Śniadanie przeciągnęło się do popołudnia.

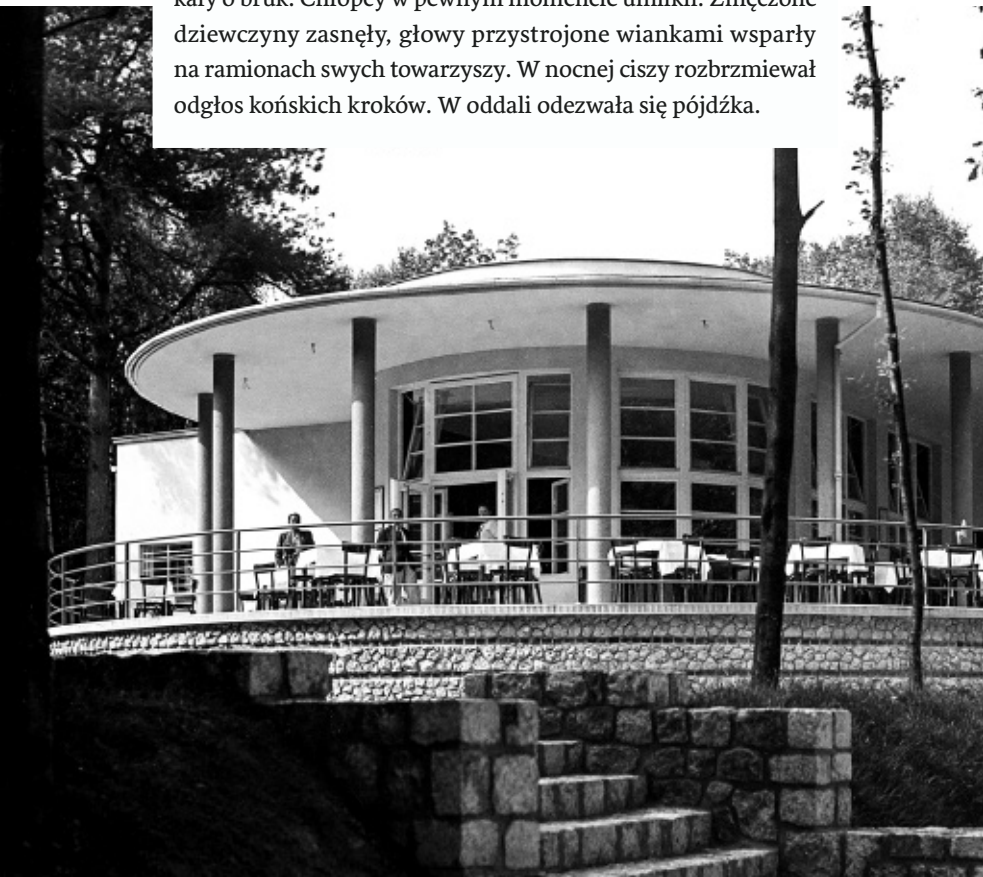
– Zaśpiewaj, mistrzu – proszono tenora, a on nie dał się dwa razy prosić.

Takie i inne spotkania, śniadania ciągnące się do obiadu, obiady zmieniające się we wspólne kolacje, koncerty i wieczorki taneczne wypełniły ostatnie lata przed wybuchem wojny.

W latach powojennych restauracja i kawiarnia w Pawilonie Okocimskim słynęła z wyśmienitej kuchni. Do Lasu Wolskiego ściągali tłumy. Legendą stały się sylwestry i bale tam urządzone, krakowianie do dziś pamiętają orkiestrę grającą największe przeboje lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i potańcówki, które nierzadko dawały początek burzliwym romansom.

Goście Pawilonu mieli iście ułańską fantazję. Pewnego razu w noc świętojańską dziewczyny uplotły wianki i stwierdziły, że muszą je o północy rzucić do Wisły. Zamówiono więc doróżkę i całe towarzystwo roześmiane i rozśpiewane ruszyło w stronę Krakowa. Kare konie szły stępą, kopyta miarowo stuknęły o bruk. Chłopcy w pewnym momencie umilkli. Zmęczone dziewczyny zasnęły, głowy przystrojone wiankami wsparte na ramionach swych towarzyszy. W nocnej ciszy rozbrzmiewał odgłos końskich kroków. W oddali odezwała się pójdzka.

Pawilon Okocimski w Lesie Wolskim na Polanie Lea,
czerwiec 1936. NAC, domena publiczna →



Przejeżdżali akurat nieopodal kwitnącego tulipanowca.

„Te konie to jak dobra, jazzowa sekcja rytmiczna” – pomyślał jeden z chłopaków i wcale nie wiedział, że wsłuchuje się w tę samą muzykę, którą słyszał inżynier Wobr, i że jadąc tą samą trasą, myśli jego myślami.

Wąsaty fiakier uśmiechnął się do siebie. Konie przeszły w kłus.

Wiele czasu minęło, wiele się zmieniło, ale stuletni tulipanowiec nadal kwitnie, drzewa rosną, ptaki śpiewają. W nocy odzywa się sowa. Szumi wiatr w konarach. Warto się zatrzymać, popatrzeć, posłuchać.





PODZIĘKOWANIA

I tak oto dobiegła końca praca nad opowieściami z miejsc, które będziemy zwiedzać podczas XXIV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego. Ostateczny kształt tej książki nadały rozmowy z ludźmi, którzy tworzą te miejsca oraz uważna lektura redaktorek, historyczek i historyków, specjalistek i specjalistów w wielu dziedzinach.

Pozwólcie, proszę, że zgodnie z kolejnością rozdziałów podziękuję tym, których praca przyczyniła się do powstania tych opowiadań.

Pragnę podziękować Michałowi Winiarskiemu i jego Rodzinie za opowieści, spotkanie i materiały o Osadzie młyńskiej w Roztoce-Brzezinach, a nade wszystko za pracę i serce włożone w ratowanie tego miejsca od zniszczenia i zapomnienia. Niech z tego młyna będzie mąka, a z tej mąki chleb.

Podziękowania zechce przyjąć gwardian kęckiego klasztoru, ojciec Rajmund Wilk, który oprowadził nas po klasztornych zakamarkach, opowiedział o tradycji Porcjunkuli i razem z ojcem Walentym pokazał zabytkowy ogród przez lata pielęgnowany przez ojca Szymona. Ogromne wrażenie zrobił na mnie zbiór dewocjonaliów Rafała Piskorka, założyciela Muzeum Klasztornego. Za wszystkie opowieści serdecznie dziękuję.

Dyrektor Muzeum im. Aleksandra Kłosińskiego w Kętach Łukasz Gieruszczak naprowadził mnie na postać ojca Ambrożego Trausyla, za co należą mu się moje szczególne podziękowania, bo ten zakonnik i wybitny botanik zasługuje na naszą pamięć. Zatem dziękując za wsparcie i pomoc, jaką otrzymałam ze strony Muzeum, przesyłam serdeczne ukłony w stronę Łukasza Gieruszczaka.

Ambroży Trausyl, bohater opowiadania o Kętach, odsyła mnie ponadto do pana Rafała Jabłońskiego z archiwum Muzeum Tatrzańskiego, pana Grzegorza Szarego z Muzeum Ziemi Bieckiej i Sebastiana Kłoska z Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie oraz do Małgorzaty Morawek z Archiwum Prowincji Franciszkanów

Reformatów w Krakowie, którym wraz z redaktorką dziękujemy za pomoc w zdobyciu cennych materiałów merytorycznych i ilustracyjnych.

Niezapomniane wrażenie wywarło na mnie spotkanie w Muzeum Historyczno-Etnograficznym im. Edwarda Szlagora w Andrychowie, podczas którego miałam przyjemność i zaszczyt poznać córkę Edwarda Szlagora, Iwonę Dylę, jego brata, Jana Szlagora, oraz Jadwigę Stanisławek-Janus, z której opowieści i książek korzystałam podczas pisania opowiadania o Andrychowie, oraz Wiesława Ogórka, prezesa andrychowskiego koła PTTK. Wówczas ponownie spotkałam Łukasza Gieruszczaaka, który rozwił wszelkie wątpliwości co do rzekomych animozji między Kętami a Andrychowem. Wszystkim jestem ogromnie wdzięczna: za wspólne zwiedzanie rodzinnego domu zamienionego w Muzeum, za zachowanie pamięci o andrychowskich Żydach, za opowieści i atmosferę spotkania. Ponadto prezes Towarzystwa Miłośników Andrychowa, Andrzej Janus, podzielił się widokówkami dawnego Andrychowa i na jego ręce składałam podziękowania dla Towarzystwa Miłośników Andrychowa.

Praca nad kolejnym opowiadaniem sprawiła, że miałam okazję poznać niezwykle legendy opowiedziane przez panią Bogumiłę Babiarczyk, radną w gminie Gródek n. Dunajcem, mieszkankę Przydonicy, która uprawia z powodzeniem wiele gatunków roślin, w tym orkisz. Za te opowieści i fotografie z Przydonicy serdecznie dziękuję.

Dziękuję także księdzu Jackowi Drożdżowi, proboszczowi parafii Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy za gościnę i możliwość zwiedzenia drewnianego zabytkowego kościoła.

Podczas pracy nad książką miałam możliwość odbycia wyjątkowych spacerów po Lesie Wolskim w towarzystwie pracowników Fundacji Miejskiego Parku i Ogrodu Zoologicznego w Krakowie oraz Centrum Edukacji Ekologicznej Symbioza. Moje najszersze wyrazy wdzięczności zechcą przyjąć Zbigniew Sikora, który udzielił mi wielu merytorycznych wskazówek, a także Dawid Masło, Wojciech Szmukier i Jakub Kałużny.

Ponadto podziękowania należą się dyrektor Kamili Follprecht oraz pracownikom i pracownikom Archiwum Narodowego w Krakowie za wszelką pomoc i udostępnienie niezwykłych fotografii.

Na koniec chciałabym wyrazić wdzięczność pracownikom Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie. Praca z Wami jest cudowna! Dziękuję Joannie Nowostawskiej-Gyalókey, niezrównanej redaktorce prowadzącej, która służyła mi radą, dodawała otuchy, dostarczała wszelkich potrzebnych materiałów, a nade wszystko wierzyła, że dotrzymam terminów. Dziękuję, Asiu! Dziękuję także Małgorzacie Hordyniec, Dominice Mietelskiej i Paulinie Kasprzyckiej za wspólny czas, echa naszych rozmów brzmią w tych tekstach. Podziękowania zechcą przyjąć także Ewa Ślusarczyk oraz Martyna Tondera-Łepkowska, które stały na straży, by w tekście nie pojawiły się błędy, oraz Maciej Grochot, który tę książkę tak pięknie zaprojektował. Dziękuję Wam.

Rezultat naszej wspólnej pracy niniejszym oddaję w ręce Czytelniczek i Czytelników.

BIBLIOGRAFIA

OSADA MŁYŃSKA W ROZTOCE-BRZEZINACH

Bogdanowska M., *Szkiecownicy Janusza Bogdanowskiego*, „Aura” 2003, nr 10, bit.ly/38SvtL (dostęp: kwiecień 2022).

Bogdanowska M., *Urządzenia dawnej techniki – młyny, tartaki, olejarnie: szkicownicy VI, IX, XIII, XIV*, „Aura” 2008, nr 2, s. 26–28.

Dzik A., *Młynarstwo w Polsce*, Warszawa 1927, bit.ly/3Opceji (dostęp: kwiecień 2022).

Mokrzyński J., *Młynarstwo (w zarysie)*, cz. 1: *Mlewo i mieliwo*, Warszawa 1914, bit.ly/37Ag5ct (dostęp: kwiecień 2022).

Winiarski M., *Osada Młyńska – Rozтока-Brzeziny jako forma ochrony „in situ” oraz koncepcja powstania muzeum* (praca dyplomowa przygotowana pod kierunkiem prof. dr. hab. Jana Świącha, rękopis), Kraków 2016.

Wywiad z Julianem Winiarskim, bit.ly/36AzUjC (dostęp: kwiecień 2022).

KOŚCIÓŁ I KLASZTOR REFORMATÓW W KĘTACH

Błachut A.J., *Architektura zespołów klasztornych reformatów małopolskich w XVII wieku*, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki” 1979, t. XXIV, nr 2, s. 219–242, bit.ly/3rFeUiU (dostęp: kwiecień 2022).

Chwaściński B., *Z dziejów taternictwa. O górach i ludziach*, Warszawa 1979.

Drożdżik W., *Z dziejów Kęt*, Kraków 1979.

„Echo Trzeciego Zakonu Św. O. Franciszka” R. 7, 1889, nr 3, s. 191–192.

Gieruszczak Ł., *Głośny botanik – Ambroży Trausyl OFM (1809–1889)*, „Almanach Kęcki” 2020, nr XXIII, s. 83–86.

Kęty. Blaski i cienie w minionych wiekach, t. 1–2, red. K. Meus, M. Tylza-Janosz, D. Żurek, Kęty 2019.

Mieczkowski D., *Obchód stułetniej rocznicy kanonizacji Ś. Jana Kantego od 14 lipca do 15 sierpnia w mieście Kentach*, Lwów 1867.

Nycz M., *Gniazdo pod białą orlicą. 300 lat klasztoru franciszkanów w Kętach*, „Almanach Kęcki” 2014, nr XVIII, s. 95–119.

Nycz M., *Kęcki wodny świat. Nie tylko obcochy*, „Almanach Kęcki” 2014, nr XVIII, s. 184–188.

Rehmann A., *O roślinności Beskidów Zachodnich*, „Rocznik c.k. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego” 1866, t. X (XXXIII), s. 189–223.

Świerczek Z., *Ekologia, kościół i święty Franciszek*, Kraków 1990.

Tłałka D., *Przyroda Gminy Kęty*, „Almanach Kęcki” 2014, nr XVIII, s. 189–191.

Wilczyński M., *Klasztor OO. Reformatów w Kętach. Monografia. Ze źródeł domowych*, Kraków 1893, bit.ly/3jVACuJ (dostęp: kwiecień 2022).

MUZEUM HISTORYCZNO-ETNOGRAFICZNE W ANDRYCHOWIE

Andrychów jako letnisko, Andrychów 1934, bit.ly/3KoXuUi (dostęp: kwiecień 2022).

Biel-Pająkowa M., Wcisło J., Zieliński J., *Andrychów na szklanych płytach zachowany. Fotografie Alojzego Stuglika z lat międzywojennych*, katalog wystawy, Andrychów 2011, bit.ly/3uYlP8T (dostęp: kwiecień 2022).

Fryś A., Putek T., *Początki „Pierwszej Galicyjskiej Tkalni Mechanicznej dla wyrobów bawełnianych braci Czeczowiczka” w Andrychowie*, „Wadoviana” 2020, nr 23, s. 19–37.

Fotografie archiwalne: bit.ly/3jVTfPm (dostęp: kwiecień 2022).

Kulczykowski M., *Chłopskie tkactwo bawełniane w ośrodku andrychowskim w XIX wieku*, Wrocław 1976.

Kulczykowski M., *Dwa wieki miasta Andrychowa (1767–1967)*, Kraków 1967.

„Lud. Kwartalnik etnograficzny” R. 16, 1910, s. 79–86, bit.ly/395Pl48 (dostęp: kwiecień 2022).

Publikacje Towarzystwa Miłośników Andrychowa: bit.ly/3xGIoR5 (dostęp: kwiecień 2022).

Stanisławek-Janus J., *Andrychów. Sceny z życia miasta*, t. 1–2, Andrychów 2018.

Szlagor E.W., *Niezwykła historia andrychowskich Żydów – polski Izrael na Kocierzu*, bit.ly/37qsrUM (dostęp: kwiecień 2022).

Szlagor E.W., *W 60. rocznicę likwidacji andrychowskiego getta*, „Wadoviana” 2004, nr 8, s. 92–100.

KOŚCIÓŁ PW. MATKI BOŻEJ RÓŻAŃCOWEJ W PRZYDONICY

- Bochnak A., *Z dziejów malarstwa gotyckiego na Podkarpaciu*, „Prace Komisji Historii Sztuki” 1934, nr 6, bit.ly/3JTn4dT (dostęp: kwiecień 2022).
- Bogdanowska M., *Materiał jako nośnik formy i treści. Drzewo i drewno w sztuce*, w: *Drewno w architekturze*, red. J. Kurek, Kraków 2016.
- Łanuszka M., *Co trzyma Matka Boska?*, bit.ly/3xCHB3O (dostęp: kwiecień 2022).
- Michniewska M., *Rośliny w małopolskim gotyckim malarstwie tablicowym 1420–1540*, Kraków 2014.
- Historia parafii Matki Bożej Różańcowej, bit.ly/3Et5zoV (dostęp: kwiecień 2022).
- Tomkowicz S., *Stanisława Tomkowicza inwentarz zabytków powiatu sądeckiego*, t. 1–2, oprac. P. i T. Łopatkiewicz, Kraków 2007, s. 176–184, bit.ly/3KZrbpP (dostęp: kwiecień 2022). Część ilustracyjna: s. 580–598, bit.ly/3ExG4NV (dostęp: kwiecień 2022).

LAS WOLSKI W KRAKOWIE

- Dubiel E., *Aktualny stan roślinności Lasku Wolskiego – Miejskiego Parku w Krakowie*, bit.ly/3EyrJAF (dostęp: kwiecień 2022).
- Goście Penclubów oczarowani Krakowem, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, 26 czerwca 1930, s. 6, bit.ly/3xISVvs (dostęp: kwiecień 2022).
- Kostuch B., *Gdy Kiepusa śpiewa rosną serca i rośnie Muzeum Narodowe*, bit.ly/3v3CQPc (dostęp: kwiecień 2022).
- Las Wolski i jego znaczenie dla Krakowa*, „Nowości Ilustrowane” 1924, nr 10, s. 5, bit.ly/3jWDTK6 (dostęp: kwiecień 2022).
- Łukaszewicz K., *Przewodnik po zwierzyńcu w Lesie Wolskim*, Kraków 1939, s. 6–8, bit.ly/3OoYftD (dostęp: kwiecień 2022).
- Najpiękniejszy park leśny w bliskości miasta*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, 11 kwietnia 1928, s. 5, bit.ly/3MloLSR (dostęp: kwiecień 2022).
- Pagaczewski S., *Z tobołkiem za Kraków*, Kraków 1979, s. 43–58.
- Sikora Z., Podwika M., *Szlak lasów miejskich Krakowa*, Kraków 2011, bit.ly/38VGwJY (dostęp: kwiecień 2022).

Tomkowicz S., *Bielany*, „Biblioteka Krakowska”, nr 26, Kraków 1904,
bit.ly/3OrLZZq (dostęp: kwiecień 2022).

Wójcik Z., *Walery Goetel (1889–1972): by w góry było po co chodzić:
o turystyce, parkach narodowych i sozologii*, Kraków 2019.

Zarewicz L., *Zakon kamedułów*, Kraków 1871, bit.ly/3uY5M1e
(dostęp: kwiecień 2022).

Zbroja B., Myślik K., *Nieznany portret Krakowa*, Kraków 2010.

**ROZWINIĘCIA SKRÓTÓW NAZW INSTYTUCJI, KTÓRE UŻYCZYŁY
ZDJEĆ DO ZILUSTROWANIA KSIĄŻKI:**

AGA	Archiwum Gminy Andrychów
ANK	Archiwum Narodowe w Krakowie
IS PAN	Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk
IHS UJ	Instytut Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego
JBC, BJ	Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa
MAKK, MK	Muzeum im. Aleksandra Kłosińskiego w Kętach
MIK	Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
MNK	Muzeum Narodowe w Krakowie
MT	Muzeum Tatrzańskie im. Dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem
MuFo, MHF	Muzeum Fotografii w Krakowie
MUJ	Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego
NAC	Narodowe Archiwum Cyfrowe
Polona	zbiory Biblioteki Narodowej
PAUart	Katalog zbiorów artystyczno-naukowych Polskiej Akademii Umiejętności
PME	Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie

W KSIĄŻCE WYKORZYSTANO FOTOGRAFIE:

s. 30: bit.ly/3vr4dl6; s. 31: BJ Graf. I.R. 385; s. 32: MuFo,
 MHF 27686/II, s. 36–37: MK/H/1083; s. 40–41: MK/H/3391;
 s. 42: www.biolib.de; s. 45: MK/H/5390; s. 46: MK/H/ 1511;
 s. 47: MK/H/4286; s. 50: MT TCO_R5_05; s. 51: MT AF3195MT-
 III-001; s. 66: Poczt.12515; s. 67: Poczt.12512; s. 70: AGA
 PL_1061_AGA_010_001_026; s. 71: bit.ly/3jWnuFN; s. 72: 633.103;
 s. 76–77: NAC 1-M-1553-2; s. 78–79: PL_1061_AGA_010_001_077;
 s. 81: DŹS XII 8b/p1/2; PL_1061_AGA_010_001_032; s. 84: 1-U-6-1;
 s. 88: MNK III-ryc.-42067; Polona 487.864; s. 92: MHF 1/II/435;
 s. 95: G.6463; s. 96: G.44055/I; s. 99: bit.ly/3vr4dl6; s. 90–91: IS PAN
 Lo/3383; s. 92: bit.ly/3vr4dl6; s. 98: bit.ly/3vr4dl6; s. 102: IS PAN
 15435; s. 106: PME N. 4183_1; s. 107: PME N. 4183_2; s. 108: MUJ
 15622 nr dz. 2753/II; s. 110–111: MAKK 1569; s. 116–117: NAC
 1-U-3048a-3; s. 118: Polona 224651 V Sa 2; s. 120: Polona DŹS XII
 8b/p.40/38; s. 122: Polona G.623/Sz; s. 124–125: NAC 1-R-603-1;
 s. 127: Polona G.5326/II; s. 129: NAC 1-U-8472; s. 130: NAC 1-G-516;
 s. 133: NAC 1-U-3048-5; s. 138: 224651 V Sa 2; s. 139: MHF 3699/II;
 s. 140–141: 1-A-1568-15; s. 142: AN.KIII.36.1764; s. 143: 2-11817;
 s. 144: 1-U-3048-2; s. 145: 29_1410_ABM TAU BUP 140 pl. 7083_0001;
 29_1410_ABM TAU BUP 140 pl. 7083_0002; s. 146: NAC 1-K-8240-28;
 s. 147: NAC 1-G-7051-4

OKŁADKA: MHF 6697/II

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć publikowanych w niniejszej książce. Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznan.



**Wprowadź
sztukę w życie
dziecka,
by została
tam na dobre!**

**Książka do kupienia na
mik.krakow.pl/sklep**



WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI

Twardo stąpać po ziemi. O życiu blisko natury

WIRTUALNA WYSTAWA
W INTERPRETACJI
MAGDALENY PETRYNY
MUZEA.MALOPOLSKA.PL

Otto Marseus van Schrieck, *Osty i motyle*, lata 60.–70. XVII wieku, Amsterdam, Muzeum Narodowe w Krakowie, domena publiczna



Fundusze
Europejskie
Program Regionalny

małopolski
instytut
kultury

mik

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



MAŁOPOLSKA

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Zrealizowano w ramach projektu „Wirtualna Małopolska” finansowanego ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Małopolskiego na lata 2014–2020 oraz budżetu Województwa Małopolskiego.



Wydrukowano na papierze Munken Print White
wyprodukowanym z celulozy pozyskiwanej
z lasów zarządzanych zgodnie z zasadami
zrównoważonego rozwoju.

Organizator:

małopolski
instytut
kultury



INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



Gospodarze:

• Klasztor oo. Franciszkanów OFM w Kętach
• Michał Winiarski – Fundacja Ochrony
i Wsparcia Dziedzictwa Kulturowego
„Osada Młyńska”

• Muzeum Historyczno-Etnograficzne
w Andrychowie
• Parafia pw. Matki Bożej Różańcowej
w Przydonicy



Współorganizatorzy:



Zarząd
Zieleni Miejskiej
w Krakowie



SYMBIOZA
CENTRUM EDUKACJI EKOLOGICZNEJ

Partner publikacji:



ARCHIWA
PAŃSTWOWE
ARCHIWUM NARODOWE W KRAKOWIE



ARCHIWA
PAŃSTWOWE
NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Patroni medialni:

Gazeta Krakowska

Kraków Culture
KARNET



miasto
dzieci

Radio
Kraków



Partner medialny:



Autorka tomu *Naturalnie* niczym prządka snuje kolejne wątki swoich opowieści, a to o wodzie, która daje wszelką energię, a to o ziołach, które raz leczą, raz trują. Dalej o zbożach i owocach, których ręka ludzka nie sieje, nie sadzi, a i tak rosną. O przedmiotach, które trwają przez pokolenia, nie stając się bezużytecznymi śmieciami. Na koniec zaś o lesie – wiecznej symbiozie człowieka i natury. Wejdźmy do tego świata jako czuli obserwatorzy!

Barbara Sadurska, absolwentka polonistyki i prawa. Specjalistka od prawa autorskiego. Zadebiutowała tomem opowiadań *Mapa*. W 2021 roku napisała zbiór opowiadań *W ruchu*, który towarzyszył Małopolskim Dniom Dziedzictwa Kulturowego. Od lat mieszka w krakowskim Podgórzu.

**Książka dostępna jako audiobook, pdf
oraz e-book na www.dnidziedzictwa.pl**

Publikacja bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży
ISBN 978-83-61406-14-3

